

W numerze: Tajemnica „Żelaznej Maski” • Winne są kobiety • Śmierć żołnierza Augusta Napolitano • Obietnice Melpomeny na rok 1965-66 • Niedoświadczony duch • Recenzje • Felietony • Polonica

# odątkosy



Nr 41 (357)  
17. X. 1965  
10 stron  
Cena 1 zł

TYGODNIK

ROK VIII



Foto: Andrzej Dębowski

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## Pioruno- chron

W 1956 roku osadę tę podniesiono do rangi miasta powiatowego. W 1965 roku miasteczko P. posiada aż... sześć bloków mieszkalnych; w jednym z nich mieści się restauracja „Kolorowa”. Okładziny kolumn tego lokalu są czarne, lśniące — odbijają się w nich — jak w lustrze — koślawe chałupy pod słomą i ciągnące środkiem miasta krowy. W najbliższej pięciolatce P. zdobędzie jeszcze jeden blok mieszkalny, nie uzyska natomiast Powiatowego Domu Kultury.

Jeśli chodzi o dwunastolatkową Izbę Porodową — mówią w miasteczku, że przestanie istnieć z powodu braku funduszy. ewentualnie utrzyma się przy życiu kosztowna smetna Izby Przeciwwzględnej, w której — według plotki — zdrowi zarabiali się od chorych. P. dysponuje skromną liczbą ludzi z wyższym wykształceniem. Za bare dni doszedłby do tej liczby pewien młodziak. Pisał akurat prace magisterską, w Częstochowie miał ją bronić. Ale nie doczekał. Znalezione go na torach w pobliskiej wsi; już nie żył.

Mieszkańców P., paru miejscowych inteligentów określa mianem „miastochłopów”. W obrębie miasta liczącego 3.800 ludzi jest 880 gospodarstw rolnych, małohektarowych. Każde gospodarstwo żywi minimum cztery osoby, więc całe miasto żyje z rolnictwa. W P. wegetuje także rzemiosło — szewcy, krawcy, rymarze, fryzjerzy, kamieniarze od nagrobków i fachowcy od wyrobu trumien. Żadnych zakładów i spółdzielni nie ma. Nieliczni z miastochłopów dorabiają w cementowni w Działoszynie lub w fabrykach częstochowskich. Bolączką ojców miasta jest brak pracy dla młodzieży. Ojcowie chcieli zmodyfikować robotę w tapierni będącej filią fabryki częstochowskiej. Chcieli wprowadzić trzydziestopięcioletnią dobę, aby zatrudnić setkę waleśkających się po ulicach wyrostków. Ale Częstochowa powiedziała: nie. Istnieje więc problem: co robić z młodzieżą. Fano podpierają ściany, wieczorem zaś tłoczą się pod miejscową klubo-kawiarnią o czterech stolikach i sześciu metrach kwadratowych. W programie tej placówki wyszczególniono:

Dalszy ciąg na str. 4

ADAM LEŚNIEWSKI

## KTO ZAWINIŁ W SPRAWIE NIEMIEC?

Jednym z następstw likwidacji kultu Stalina było stopniowe prostowanie szeregu faktów i błędnych ocen, odnoszących się do niedawnych dziejów. W atmosferze podniecenia oraz sceptycyzmu, które towarzyszyły weryfikacji najnowszej historii, zaczęto tu i ówdzie rewidować

problem odpowiedzialności za dzisiejszą sytuację Niemiec, warunkującą w tak wielkim stopniu panujące na świecie napięcie. Sprzyjało temu przyznanie, że w minionych latach radziecka polityka zagraniczna nie była wolna od błędów oraz natarczywa kampania propagandowa Zachodu, starającego się obarczyć ZSRR od odpowiedzialności za rozbięcie Niemiec.

Uplynęło wprawdzie 16 lat od dnia objęcia urzędu kanclerskiego przez Konrada Adenauera, ale jest to czas wystarczająco długi, aby zatrzeć w pamięci wielu współczesnych rzeczywisty bieg faktów, które złożyły się na obraz dzisiejszych Niemiec. Oczywiście chodzi o fakty dające się bez trudu sprawdzić i przez nikogo nie kwestionowane, choć wystarczające dla zorientowania kogo uczynił z powojennych Niemiec nie wygasające źródło niepokoju światowego. Nie ma przy tym powodu, aby traktując fakty jako coś, co się najbardziej liczy, wyzwać się przez to komentarzy, szczególnie gdy pochodzą od kompetentnego znawcy przedmiotu.

Zanim zabierze on głos, warto dla dobra sprawy przedstawić go, i to w sposób jaki sam czynił wobec czytelników własnej książki, Otóż jest to p. James P. Warburg,

Amerikanin niemieckiego pochodzenia, długoletni przedstawiciel wielkich banków amerykańskich i bliski przyjaciel byłego sekretarza stanu, Dean Achesona.

W latach międzywojennych p. Warburg był kilkakrotnie w Europie z — jak się wyraża — misją dopomożenia Niemcom w wydobyciu się z powojennej stagnacji gospodarczej. Pelen pietyzmu do ojczyzny swych przodków, nie akceptował on jednak dyktatorskich rządów Hitlera, przed którym starał się przestrzec koła rządzące Stanów Zjednoczonych. W latach II wojny światowej p. Warburg pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji, w tym między innymi zastępcy dyrektora Urzędu Informacji Wojennej i Urzędu Służby Strategicznej (Office of War Information, Office of Strategic Services). W 1943 r. p. Warburg był przeciwnikiem ogłoszonej przez rząd USA i uzgodnionej z ZSRR deklaracji o prowadzeniu wojny z Niemcami aż do ich bezwarunkowej kapitulacji, motywując swe stanowisko tym, iż oświadczenie to mogłoby się przyczynić do usztywnienia oporu III Rzeszy. Wiosną 1944 r. p. Warburg był przez krótki okres zaangażowany w prace zespołu rządowego (w którym działał między innymi John J. McCloy, późniejszy Wysoki Komisarz USA w Niemczech), opracowującego pro-

jekt polityki amerykańskiej wobec powojennych Niemiec.

Już wtedy p. Warburg był zdecydowanym przeciwnikiem tzw. planu Morgenthaua, przewidującego dezindustrializację i rozczłonkowanie Niemiec. W planie tym, widział bowiem urzeczywistnienie, godnego pojęcia „pokoju zwycięzców”, co w rodzaju rasizmu à rebours, Rzeczą jasną chodziło mu nie tylko o wzniośle zasady. Pan Warburg był i jest przeciwnikiem polityki prowadzącej do rozbięcia Niemiec, gdyż w tendencji zjednoczenia która — jak przewiduje — musi się pojawić w podzielnym kraju, widzi groźbę odrodzenia nacjonalizmu niemieckiego i widmo rewanżu. Alternatywa podziału mogła być według niego polityką, wiedzącą do samostnej ewolucji Niemiec w kierunku demokratycznym, oczywiście pod kontrolą aliantów, z założeniem, że cały obszar Niemiec, wchodzących w skład zintegrowanej Europy Zachodniej byłby objęty programem, zbliżonym do późniejszego planu Marshalla.

Jak wiadomo, wydarzenia tak się potoczy-

Dalszy ciąg na str. 3





Kraj 2,5 tys. wysp — Indonezja nadal skupia na sobie uwagę świata. Jeżeli wciąż nie są dokonywane zmiany w jej polityce, przyczyną wydarzeń z 30 września, o tyle widać, że prezydent Sukarno powoli opanowuje sytuację. W imię „równowagi i jedności” Indonezji” zapowiedział on o „jedności, zdecydowanie pomniejszając znaczenie wypadków. Nazwał je nawet „zwykłym incydentem”, jakby sugerując, że jest to po prostu jedna z wielu 200 rebelie, jakie miały miejsce w tym kraju.

Apel o jedność w pełni poparty został i przez Indonezyjską Partię Komunistyczną, która jest najliczniejszą w „trzecim świecie” i liczy ponad 3 mln członków.

Co może niepokoić w obecnym rozwoju sytuacji?

Indonezja jest bodaj jedynym krajem na świecie, gdzie oficjalnie obowiązuje tzw. doktryna „dwutętności” — dwuwładztwa armii i ludu, między którymi Sukarno starał się utrzymać pewną równowagę. Teraz może zachodzić obawa, że szala przechyli się na stronę armii. Może precyzyjniej — na stronę tej jej części, którą reprezentuje gen. Abdul Haris Nasution.

O gen. Nasutionie świat słyszy nie po raz pierwszy. Ilekroć dochodziła do głosu armia — zawsze wymieniało jego nazwisko. Uważany za najbardziej realnego konkurenta Sukarno — w ostatnich wydarzeniach znacznie wzmocnił swoją pozycję, jako że jest on wspaniałym antykomunistą i zwolennikiem silnej, zaangażowanej w życie politycznej armii — może to nie pozostać bez wpływu na politykę Indonezji.

Jest to ewentualność, której nie można wykluczyć, ale do której nie chce dopuścić również sam Sukarno. Byłoby to bowiem na ręce neokolonialistom i imperialistom, z czego prezydent Indonezji zdaje sobie sprawę.

Wydarzenia w Indonezji — jak się wydaje — przesądziły o terminie tzw. „II Bandungu”, czyli o konferencji szefów rządów krajów afrozachodnich. Szanse zwolnienia jej w uprzednio ustalonym terminie są obecnie więcej niż nikłe. Tym bardziej, że nie ma pewności, czy udaloby się sprowadzić do wspólnego stołu obrad Pakistan i Indie. Tak więc nie jest wykluczone, że konferencja ta po raz wtóry zostanie odroczona.

Indonezja wymieniana jest ostatnio w jeszcze innym kontekście: jako kraj, o którym przede wszystkim myślał papież — Paweł VI, kiedy na sesji ONZ mówił: „dajcie do sprowadzenia do swych szeregów tych, którzy odeszli od was, poszukując sposobów objęcia waszym paktem braterstwa z

poszanowaniem godności i lojalności tych, którzy nie są jeszcze jego uczestnikami”.

(Jak nasi Czytelnicy z pewnością pamiętają — Indonezja — na tle konfliktów z Malajzją — wystąpiła z ONZ).

Wspominałem o wizycie papieża w Nowym Jorku... Odnajdujemy ją nie tylko jako wydarzenie sensacyjne, ale również jako wydarzenie polityczne. Przemówienie papieża w ONZ zasługuje na uwagę z następujących powodów: podkreślenia przez niego konieczności przywrócenia Organizacji charakteru uniwersalnego, apelu o rozbrojenie i potępienia neokolonializmu.

Komentatorzy zagraniczni dużo uwagi poświęcili także spotkaniu papieża z Johnsonem, rejestrując na tym tle wiele zbieżności między Waszyngtonem i Watykanem i jedną rozbieżność: te punkty przemówienia Pawła VI, które — cytując za agencjami zachodnimi — są „diametralnie sprzeczne z polityką azjatycką Stanów Zjednoczonych”.

Dżakarta, Nowy Jork... Do tej listy najbardziej aktualnych ośrodków zainteresowania doszła ostatnio także Brazylia. Odbity się tam bowiem wybory gubernatorów w 11 stanach, które w 10 wypadkach przyniosły zwycięstwo opozycji. W dwóch stanach wybrani zostali ludzie ściśle związani z Kubitschkiem — byłym prezydentem, który w czerwcu ub. roku pozbawiony został przez aktualny rząd praw obywatelskich na lat 10.

W tej sytuacji można oczekiwać, że Brazylia będzie sceną dalszych wydarzeń, być może nawet w rodzaju: prób zamachu stanu ze strony generałów prawicowych, którzy zawsze opowiadali się przeciwko wyborom, anulowania wyborów przez rząd Castelo Branco itp.

Kubitschek, który właśnie po przymusowej emigracji powrócił do kraju, domaga się uchylenia zakazu w odniesieniu do swojej osoby, ponieważ chciałby kandydować w przyszłych wyborach prezydenckich. Do podjęcia takiej decyzji upoważniają go wspomniane w wstępie wyniki wyborów gubernatorskich. Dodajmy, że szanse Kubitschki — wobec dużego rozczarowania w Brazylii rządami prawicy — byłyby naprawdę poważne.

W dzisiejszym komentarzu chciałbym także na chwilę powrócić do sytuacji powojennej w Niemczech zachodnich. Piszę uprzedzić komentarz przed rozmowami koalicyjnymi CDU-CSU-FDP, ale już właściwie wiadomo, że w nowym rządzie bółskim nie nastąpią żadne poważniejsze zmiany.

Najbardziej kontrowersyjną kandydaturą — Schroedera na stanowisko min. spraw zagranicznych — została zachowana, z tym, że Erhard zobowiązał się podobno do mocniejszego trzymania cudzi polityki zagranicznej w swoim ręku. W ten sposób Erhard i spółka chcą odparować zarzuty SDP, że dotychczasowa ekipa rządząca uczyniła z NRF „potęgę ekonomiczną, ale kartę polityczną”. W ten sposób ma być także potwierdzone „naturalne ciążenie NRF ku Ameryce”.

Tak — jakby ktokolwiek mógł mieć co do tego ostatniego wątpliwości... W. SŁAWSKI

## 10 KRONIKA TYGODNIA

● Francja zamierza z początkiem przyszłego roku wystąpić z propozycją reorganizacji paktu NATO. Jedną z francuskich propozycji przewiduje pozabawienie Bonn prawa współdecydowania bronią nuklearną. Inna zakłada, pozostawienie wojsk amerykańsko-angielsko-francuskich na terytorium NRF, jako że z punktu widzenia prawno-etycznego Niemcy zachodnie są krajem pokonanym i nie w pełni suwerennym. Francuskie źródła prasowe utrzymują, iż zdaniem miarodajnych kół paryskich reorganizacja Paktu Atlantycznego pociągnie za sobą reorganizację Układu Warszawskiego, co umożliwiłoby stopniową poprawę i normalizację stosunków między krajami Europy Wschodniej i Zachodniej.

Kiedy zdarzy się kobiecie przyjść punktualnie na randkę, oznacza to, że zepsuł się jej zegarek.

Marcello Mastroianni — aktor

■ Na dorocznym spotkaniu Stowarzyszenia Rodzin Żołnierzy, Marynarzy i Lotników Angielskich podano, iż liczba związanych z armią członków rodzin żołnierskich: żon i dzieci przekroczyła znacznie liczbę żołnierzy armii. Zjawisko powyższe uznano na zjeździe jako negatywne, stwierdzając przy tym, iż pogłębia się ono z uwagi na tendencję do zawierania małżeństw przez personel sił zbrojnych w stosunkowo młodym wieku.

■ Zadłużenie zagraniczne krajów Ameryki Łacińskiej wzrosło w ciągu ostatnich dziesięciu lat o przeszło 150 proc. osiągając olbrzymią sumę 10,6 miliarda dolarów. Trudną sytuację tych krajów pogarsza fakt, iż płatność połowy zaciągniętych długów przypada w ciągu najbliższych pięciu lat.

■ W początkach bieżącego miesiąca przed sądem angielskim w Stropshire postawiono został w stan oskarżenia 44-letni mieszkaniec miasta o nazwisku Gray, oskarżony o pozbawienie życia swego 12-letniego nieuleczalnie chorego na raka kregosłupa syna. Zarówno obrońca jak i oskarżyciel zwrócili uwagę w swych wystąpieniach na olbrzymie poświęcenie ojca i matki dziecka, którzy dokonali tego czynu z myślą o skróceniu cierpień będącemu już w stanie agonii dziecku.

Według ustaleń sądu chłpiec został otruty gazem po uprzednim uśpieniu go środ-

kami nasennymi. Sąd skazał Graya na dwa lata więzienia w zwieszaniu.

■ Ministrowie spraw zagranicznych ZSRR — Gromyko i USA — Rusk przeprowadzili w Nowym Jorku dwie, trwające niemal 6 godzin rozmowy. Tematem dyskusji były sprawy związane z problemem niemieckim, bezpieczeństwem Europy i rozbrojeniem. Komentator polityczny UPI stwierdza, iż obaj rozmówcy zgodzili się co do tego, że nie mogą dojść do porozumienia w tych zagadnieniach i rozstrzygnięciu sprawy sobie nawzajem, że pozostaną w kontakcie, jeśli w przyszłości wyłoni się możliwość pozytywnego rozstrzygnięcia tych spraw.

■ Archeologowie węgierscy natrafili w czasie prac wykopaliskowych w okolicach Budapesztu na ruiny Synagogi, pod którymi odkryto około 100 szkieletów ludzkich. Historycy węgierscy utrzymują, iż zniszczenia synagogi i masakry ludności żydowskiej dokonały oddziały wojsk niemieckich w 1686 roku.



Po zjeździe Labour Party: teczki laburzystów — program konserwatywów

■ W związku z ostatnimi wydarzeniami w Indonezji, przywódcy CHRL wystosowali do prezydenta Sukarno depesze, w której m. in. piszą: „Dowiedzieliśmy się z audycji radia Dżakarta, że Wasza Ekscelencja jest w dobrym stanie zdrowia i przesyłamy niniejszym nasze serdeczne pozdrowienia oraz serdeczne życzenia”.

■ „Dzisiaj — stworzenie świata. Jutro — zakazany owoc” — głosi anons paryskiej gazety wieczornej „France-Soir”, w której właśnie rozpoczęto serijny druk historii biblijnych ilustrowanych rysunkami. Celem publikacji ma być „Uczynienie najlepszej książki świata lepiej znaną”. Mówi się, że nad zgodnością podpisów pod ilustracjami z tekstem oryginału czuwać będą biegli w piśmie teologowie.

cy centralnym organem KPCH udostępnił swoje łamy „człowiekowi, którego miejsce na śmietniku historii”.

■ Powodem szczególnej irytacji nowo wybranego kanclerza Erharda stał się prywatny list zachodniemieckiego prezydenta Heinricha Lübke, adresowany do ex-kanclerza Konrada Adenauera na tydzień przed wyborami w NRF. Lübke proponował Adenauerowi wybadanie możliwości utworzenia rządu koalicyjnego z socjaldemokratycznymi oponentami Erharda bez Erharda jako kanclerza.

■ Komitet Centralny Zjednoczonej Partii Rewolucyjnej Socjalistycznej postanowił zmienić nazwę partii na Komunistyczną Partię Kuby.

■ W Kairze utrzymuje się pogląd, iż szansa odbycia zapowiadanej na 5 listopada w Algierze konferencji szefów rządów krajów afrozachodnich, w związku z ostatnimi wydarzeniami w Dżakarcie, równa się zeru.

■ Katolicka wyższa uczelnia im. św. Piotra w Jersey City nadała stopień doktora praw laureatowi nagrody Nobla Martin Luther Kingowi. Przyjmując ten tytuł M. L. King zażądał: Sprawy muszą wyglądać rzeczywiście dobrze, skoro katolicka uczelnia nadała stopień naukowy komuś, kto nazywa się Marcin Luter.

■ Agencja TASS ocenia wystąpienie papieża Pawła VI w ONZ i jego późniejsze oświadczenia, sformułowane w Izynie jako „pozytywny wkład w umocnienie pokoju międzynarodowego”.

■ 114 tysięcy osób w CSRS czeka na nowe samochody osobowe a prawie 50 tysięcy na używane wozy. W pierwszym półroczu br. sprzedano zaledwie 12 tysięcy samochodów osobowych, jednocześnie zaś przybyło 27 tysięcy dalszych zainteresowanych ich nabyciem.

Właściwa postawa moralna jest niemal tak ważna jak dobre zwyczaje przy stole.

Winni Fred Wolfe — amerykańska pisarka

■ Do roku 1970 amerykańska marynarka wojenna zamierza wybudować łodzie podwodne o napędzie atomowym zdolne do działań na głębokości 1700 stóp. Obecne łodzie podwodne będące na wyposażeniu marynarki Stanów Zjednoczonych posiadają zdolność zanurzenia do około 400 stóp.

■ Biuro Polityczne KC Komunistycznej Partii Indonezji zwróciło się z apelem do wszystkich członków i sympatyków partii, by udzielić poparcia apelowi prezydenta Sukarno o zachowanie jedności narodu. Oświadczenie stwierdza, że „ruch 30 września” to wewnętrzny problem sił zbrojnych i w sprawie tej partia się nie miesza. W oświadczeniu podkreśla się, iż członkowie partii — których nazwiska figurowały na liście członków rządu rebelianckiego nie byli uprzedzeni o tym fakcie.

Niegdyś dzieci czyniły wszystko, aby zdobyć sympatię rodziców; dziś jest odwrotnie.

Art Buchwald — satyryk

■ Premier Zhou En-lai: „Jeśli imperializm amerykański będzie dalej kroczył niebezpieczną drogą ekspansji wojkowej, bez wahania przyłączymy się do bohaterów narodów Indochin, aby całkowicie i definitywnie wypędzić agresorów amerykańskich z Indochin i z całej Azji Południowo-Wschodniej.”

■ Rzecznik zachodniemieckiej firmy Krupp podał do wiadomości, iż podczas międzynarodowej wystawy chemicznej w Moskwie, firma ta zaproponowała radzieckim centr. lom handlu zagranicznego podjęcie kooperacji przemysłowej dla krajów trzeciej.

## W SPRAWIE DZIAŁANIA DOCELOWEGO

Działanie celowe, z głową, dla jasno określonego celu, bardzo ostatnio podrożało. Nasza prasa codzienna wzięła wyraźnie to niezwykle istotne zagadnienie na kiel.

W Białymostku dwóch uczniów oblało rozpuszczalnikiem trzeciego w nadziei, że się ten trzeci rozpuści. Jakoś użytego produktu musiała być jednak nie najlepsza, ten trzeci chłopak wcale się nie rozpuścił i trzeba go było z konieczności podpalić, co też tych dwóch pierwszych natychmiast uczyniło. „Kurier Polski”, który o tym fakcie doniósł, ostro piętnuje bezmyślność, bezsens tego rodzaju działania, powołując się przy tym na oburzenie społeczeństwa dorosłych. Rzeczywiście! Nie chodzi o mocno poparzonego chłopaka, każdy ma dość siły, żeby znieść cudze nieszczeście, ale gdzie tu sens, co komu przyjdzie ze spalonego chłopaka, jaka z tego korzyść? Te pytania stawiane przez dorosłych wobec młodzieży, podkreślają jak wielką wagę przywiązujemy do działania celowego.

Ważny jeszcze inny wypadek pod rozważ. W Bydgoskiem, młodzi ludzie w wieku szkolnym postanowili sobie wykołować podciąg, nasypani na tory kamieniami, drzewa, żelastwa, no, ale do katastrofy nie doszło. Maszynista speszzył w porę niebezpieczeństwo, ale i on nie mógł zrozumieć o co tu chodzi, jaka jest docelowa stacja, co kto będzie miał z tego, że się pociąg wykołuje?

Szeroko uprawiana moralistka — pod hasłem: miej cel, jasny wyrażony cel w swojej działalności, działaj z głową, myśl o tym, co ci to przyniesie, ta moralistka, kierowana pod adresem młodego pokolenia wydaje się jak najbardziej słuszną. I będzie chyba skuteczna, gdyż prasa

nie szczędzi wymownych przykładów takiej właśnie celowej działalności ze strony dorosłych.

W „Kurierze Polskim” znalazłem sprawozdanie z procesu dorosłych, którzy działali w branży pasmantejowej. Każdy z dorosłych prowadził konkretną działalność docelową, wymierną w złotych polskich, a równocześnie wykazywał zdrowe poczucie hierarchii, którego tak brakuje naszej młodzieży. Najwięcej zarabiał dyrektor przedsiębiorstwa, po nim wiceprezys, dalej dopiero kierownik kadr, po nim inni kierownicy, a na końcu zwykli kierownicy sklepów. Jest to pouczający przykład działania docelowego nie naruszającego przyrodzonego porządku — każdemu wedle stanowiska.

Budujących przykładów zresztą nie brakuje. Młodzież, jak wiadomo, powinna zbierać makulaturę. Te pozytywne czynności hamuje nieco brak papieru, który ostatnio przeżywamy. W tej sytuacji pomysł pana W. z Nowej Soli wydaje się godny naśladowania. Obok worka z papierzyskami sprzedawał także swoją żonę w worku jako makulaturę. 70 kilo żywej wagi ma swoje znaczenie. Sposób prosty, łatwy do zastosowania, oczywiście pod warunkiem, że worek nie będzie szelczył. A więc każdy chłopiec ze swoja dziewczyną w worku znajduje się w najbliższej zbieralni makulatury, rozwijamy ruch zbierania surowców wtórnych!

Uczynność społeczna, działalność dla drugiego człowieka — to także jedno z naszych celowych hasel wychowawczych. Pewien warszawski listonosz pomagał właśnie w tym duchu potrzebującym. Jednej pani pożyczył 4,5 tys. złotych pocztowych na leczenie brata, a jednemu panu, który zgubił pensję i bał się wrócić do domu, pożyczył 1 tys. złotych pocztowych. Wdzięczni przedstawiciele społeczeństwa płacili mu 10 procent od wysokości pożyczonych sumy w skali miesiąca. Tak więc — pomagając innym mo-

żemy przede wszystkim pomóc sobie, nośmy tylko głowę na karku, niech nam tylko „baśka” dobrze pracuje.

Młodzież powinna się uczyć, dobrze uczyć. W mieście, którego nazwy nie wymienię, ponieważ moje dzieci chodzą do szkoły, otóż w tym mieście, jak zresztą wszędzie, zaplanowano ilość dzieci, które nie ukończą siódmej klasy szkoły podstawowej, zaplanowano więc jaki kto będzie zdolny i pracowity. Wiadomo z góry, że nasi milusińscy to lenie, osły, nie to co z naszych czasów. Tymczasem szkoły podstawowe ukończyło o 600 dzieci więcej niż zaplanowano, miały być ośmiaki, a nie były, okpiły wieloletni planiści, ludzi wyspecjalizowanych w przewidywaniu najgorszego, jeśli chodzi o młodzież. Sprawy tego nie szczęścia zostali surowo ukarani przez dorosłych. Za nieposłuszeństwo, za samowolne uzyskanie dobrych wyników w nauce, delikwencji zostali popychani w średnich szkołach nie wedle zainteresowań, lecz jak popadło, albowiem młodzież musi wiedzieć, że ma się tak uczyć, abyśmy mogli spokojnie narzekać na to, że się nie uczy, moralizować, zachęcać, poganiać, pilnować, przypominać nasze dawne szkolne sukcesy, przedwojenne, prawdziwe.

Nie rozumiem tylko jednego — czemuż to prasa nie podala tego ostraszającego przykładu samowoli do publicznej wiadomości. Ileż w nim możliwości wychowawczych, ileż prawdy o konieczności działania docelowego, ten przykład aż krzyczy, że młodzież wciąż nie słucha starszych, a i z czytelnictwem gazet nie jest chyba najlepiej. Zbiórki makulatury organizuje młodzież wciąż na starych zasadach.

hieroglicy



Artystom wykonującym rysunki pozostawiono nieco swobody. W związku z czym biblijna Ewa zdradza zaskakujące podobieństwo do Brigitte Bardot, Adam zaś posiada fryzurę a'la Beatles.

■ W moskiewskiej „Pravdzie” ukazał się komentarz poświęcony konferencji prasowej b. wicepremiera Kuomintangu, Li Tsung jena. „Li Tsung jen — pisze dziennik — przeczytał oświadczenie i odpowiedział na pytania. Roztoczył on przed słuchaczami swój polityczny program walki „o socjalizm” i mimo chłodu dał kilka wskazówek w sprawach strategii i taktyki światowego ruchu komunistycznego. M. in. ten nowy luminarz „rewolucyjny” myśli porazić „aby... rozkroić KPZR”. Dziennik przypominając rolę Li Tsung jena w dławieniu chińskiego ruchu komunistycznego w przeszłości, komentarz kończy się zapewnieniem, jak mogło się stać, iż dziennik Zenninapao będą-



# KTO ZAWINIŁ W SPRAWIE NIEMIEC?

Dalszy ciąg ze str. 1

ly, że tylko strefy zachodnie, nie zaś całe Niemcy znalazły się w sferze wpływu USA. Winą za zaprzepaszczenie tej możliwości obarcza p. Warburg odpowiedzialnych polityków amerykańskich w latach 1945-1949. Krytykując ich błędy, ujawnia przy tym niestety, dobrze mu znane, rzeczywiste motywy i intencje amerykańskiej polityki zagranicznej. Poznanie ich będzie zapewne pomocne w krótkim odzwierciedleniu historii podziału Niemiec.

Zaczynamy jednak od faktów. Począwszy od stycznia 1942 r., gdy prezydent Roosevelt powołał Komitet Doradczy dla Problemów Powojennych (Advisory Committee on Post-War Problems), w sferach rządowych USA rozpatrywano różne projekty rozczłonkowania Niemiec. W rok później, na konferencji w Quebecu, w imieniu Anglii do dyskusji włączył się minister Eden. W Teheranie, na spotkaniu Wielkiej Trójki, Roosevelt poparty przez Churchilla referował projekt podziału Niemiec na pięć odrębnych państw, lecz wobec braku ostatecznego stanowiska Stalina, decyzji w tej sprawie nie podjęto. W lipcu 1944 r. sekretarz stanu Hull zapropował memorandum specjalnej komisji Departamentu Stanu. Zgodnie z jej oceną, Stany Zjednoczone nie powinny oczekiwać, iż w Niemczech wystąpią spontaniczne tendencje odśrodkowe i dlatego polityka USA winna się ograniczać do nadania Niemcom jedynie ustroju federalnego. Wkrótce potem (druga konferencja w Quebec - wrzesień 1944). Amerykanie zrezygnowali z dotychczasowego zamiaru demontażu przemysłu niemieckiego w Ruhrze, decydując się na przekazanie go Anglii. Ale sprawa ta wypłynęła ponownie podczas konferencji jaltanckiej, gdy z inicjatywy Churchilla starano się rozstrzygnąć problem: czy Ruhr i Saara mają zostać wyodrębnione od Niemiec, czy przyłączone do Francji, czy też poddane kontroli między państwowej organu? W Jaltce nie zapadły jednak żadne decyzje i sprawę przekazano do Komisji Trzech, która w marcu 1945 r. obradowała w Londynie, lecz tam przedstawiciel ZSRR przeciwstawił się wszelkim koncepcjom rozczłonkowania Niemiec.

Tymczasem, począwszy od kwietnia 1945 roku, wracając do Niemiec armia amerykańska zobowiązana była do postępowania w myśl tajnej dyrektywy JCS 1087, zgodnie z którą, komendanci wojskowi powinni byli popierać miejscowe inicjatywy decentralistyczne i powstrzymywać się od jakichkolwiek działań, sprzających odbudowę Niemiec jako całości.

Jeżeli chodzi o ekonomiczne przyczyny dla których w Stanach Zjednoczonych rozważano różne warianty planu podziału Niemiec, to najogólniej rzecz biorąc, wynikały one z chęci złamania i wyeliminowania potęgi niemieckiego kapitalu. W końcowej fazie wojny do głosu doszły również aspiracje monopolu brytyjskich i francuskich, często z sobą kolidujące i dlatego utrudniające podjęcie ostatecznych decyzji. Wreszcie wspomnieć należy o postawie niektórych wpływowych grup wielkiego biznesu w USA, które były przeciwnie idej podziału Niemiec, wychodząc z założenia, że jednolite państwo niemieckie (choćby nie obejmujące całego terytorium) da się łatwiej ująć przez system kontroli gospodarczej, eliminującej konkurencję niemiecką. Rozwiązanie to zakładało też penetrację kapitalu amerykańskiego, aż do przejmowania całych gałęzi gospodarki niemieckiej.

Konferencja Poczdamka, która była uwięzieniem - i jak się niebawem okazało - za koźleniem - antyfaszystowskiego sojuszu wielkich mocarstw, podjęła za sprawą ZSRR w kwestii niemieckiej szereg doniosłych postanowień. Zalicza się do nich m. in. decyzje o demilitaryzacji i demilitaryzacji Niemiec oraz przyjęcie zasady, iż mimo istnienia czterech stref, Niemcy będą traktowane jako całość przez państwa okupacyjne. Zewniebrnym tego wyrazem było utworzenie Sojuszniczej Rady Kontroli, której decyzje miały obowiązywać na terenie całych Niemiec, czy też utrzymanie tej samej waluty we wszystkich strefach okupacyjnych.

Ręchto jednak uważały się odstępstwa od założeń układu poczdamskiego w sposobie jego interpretowania i wykonywania przez mocarstwa zachodnie, które w przeciwieństwie do ZSRR wzięły kurs na przeprowadze-

nie podziału Niemiec. Zmiana ta dokonała się z inicjatywą Stanów Zjednoczonych dla których kwestia niemiecka stała się dość wcześnie składową polityki wobec ZSRR. Podobne stanowisko w tej sprawie zajął Churchill, który wspomina<sup>\*)</sup>, że jeszcze w czasie trwania działań wojennych wydał polecenie magazynowania zdobytej broni niemieckiej, celem jej ewentualnego użycia przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Pierwszym, wyraźnym posunięciem, służącym sprawie rozbitcia Niemiec było podpisanie w grudniu 1946 r. porozumienia między rządem amerykańskim a angielskim o połączeniu obu stref okupacyjnych, w wyniku czego powstała t.zw. Bizonia. Był to ważny fakt dokonany, ponieważ wiosną 1947 roku miała się odbyć konferencja ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw, w celu przygotowania projektu traktatu pokojowego z Niemcami. W dniu 10. III. 1947 r. została otwarta konferencja moskiewska, z którą opinia publiczna łączyła nadzieje na utrwalenie pokoju światowego. Jednakże w dwa dni później, w czasie trwania obrad, prezydent Truman proklamował w Kongresie swą słynną „doktrynę”, opartą na tezie, iż misją historyczną USA jest zwalczanie komunizmu we wszystkich krajach.

W praktyce miało to oznaczać, że problem niemiecki będzie traktowany jako jeden z najważniejszych elementów zimnej wojny, zaś konferencja obradować będzie w skrajnie niesprzyjającej atmosferze; wkrótce też okazało się, że do żadnego porozumienia nie dojdzie. Jeżeli chodzi o stanowisko delegacji zachodnich, to nastawiały one głównie na nadanie Niemcom możliwie zdecentralizowanego ustroju państwowego oraz stworzenie przesłanek, umożliwiających integrację gospodarki zjednoczonych Niemiec z ekonomią mocarstw kapitalistycznych. Ze swej strony, ZSRR wysunął projekt ustroju Niemiec, zbliżony do statusu Republiki Weimarskiej, a więc państwa niesocjalistycznego. Przedstawiciele Związku Radzieckiego domagali się między innymi zagwarantowania współudziału w rządzie niemieckim organizacji robotniczych anulowania decyzji o połączeniu stref amerykańskiej i brytyjskiej, ostatecznego uznania granic ustalonych w Poczdamie, reparacji wojennych z bieżącej produkcji niemieckiej po zawarciu traktatu pokojowego oraz wyłączenia z rokowań pokojowych państw, które nie brały bezpośredniego udziału w wojnie przeciwko III Rzeszy.

Kolejnym krokiem wiodącym nie tylko do podziału Niemiec lecz i rozbitcia Europy, stał się proklamowany 5. VI. 1947 r. plan Marshalla, który za cenę ustanowienia amerykańskiej kontroli nad ekonomią i polityką państw w nim uczestniczących, stabilizował kapitalizm w Europie Zachodniej i zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec. W tych warunkach, nowa konferencja ministrów spraw zagranicznych, która zebrała się 25 listopada, musiała zakończyć się fiaskiem. Według p. Warburga, Molotow wykorzystał to spotkanie dla uprawiania propagandy: „powiedział on narodom Europy Zachodniej, że sednem planu Marshalla jest odbudowa Niemiec zachodnich jako arsenału” (twierdzenie to okazało się niestety prorocze) (s. 54).

W dniu 22. I. 1948 r. premier Bevin poinformował posłów Izby Gmin o ostatecznym załamaniu się współpracy czterech mocarstw i o pertraktacjach, zmierzających do stworzenia Unii Zachodniej, obejmującej Wielką Brytanię, Holandię, Francję, Belgię i Luksemburg. Tymczasem w odpowiedzi na utworzenie Bizonii, 20. III. 1948 r. gen. Sokolowski odczytał Sojuszniczej Radzie Kontroli, zaś 7. IV. 1948 r. Departament Stanu ogłosił komunikat o zawarciu w Londynie porozumienia między USA a Unią Zachodnią w sprawie współpracy z zachodnimi zezadaniami wojskowymi w Niemczech oraz zapowiedział koordynację działań między Bizonią a strefą francuską, z perspektywą ich połączenia w bliskiej przyszłości. Rządy zachodnie postanowiły także utworzyć separatystyczny, niemiecki Rząd Tymczasowy, który miał działać pod nadzorem trzech sił okupacyjnych, w oparciu o specjalny statut okupacyjny.

Brutalne pogwałcenie porozumienia poczdamskiego przez uczestników konferencji londyńskiej oraz w tym czasie wspomnienie okrucieństw okupacji hitlerowskiej, wywołały fale gwałtownych protestów w całej Europie. Szczególne wrażenie wywarły decyzje londyńskie we Francji, gdzie z największym wysiłkiem i w dramatycznych okolicznościach ratyfikowano układ w Zgromadzeniu Narodowym, 300 głosami przeciwko 286. Mimo to oburzenie w tym kraju było tak powszechne a poczucie zagrożenia ze strony Niemiec tak silne, iż wkrótce potem, minister Bidault, jeden z twórców porozumienia podał się do dymisji.

Oddając wypadki zaczęły toczyć się jeszcze szybciej. W dniu 20. VI. 1948 r. dokonano w Niemczech zachodnich reformy walutowej wprowadzając do obiegu nowe środki płatnicze; w trzy dni później reforma objęła Berlin zachodni. Takim sposobem podział Niemiec w dziedzinie gospodarczej stał się faktem dokonany, przy czym akt ten zrodził natychmiast ujemne skutki, dla pozabawionej ochrony ekonomiki Niemiec wschodnich. Dopiero potem, władze radzieckie zmuszone zostały do przeprowadzenia

Jerzy Napieracz — Turniej — Linoryt.



reformy walutowej na terenie swej strefy oraz do zamknięcia komunikacji lądowej między Berlinem zachodnim a trzema strefami okupacyjnymi.

Rozpoczął się groźny okres napięcia międzynarodowego, zapoczątkowany przez uruchomienie mostu powietrznego do Berlina. Impreza ta, finansowana głównie przez USA, została w maksymalnym stopniu wykorzystana pod względem propagandowym dla wytworzenia psychozy wojennej i antyradzieckiej. Mimo to, warszawska konferencja Kominformu, obradująca w czerwcu 1948 r. zaproponowała natychmiastowe wznowienie rozmów między czterema mocarstwami dla przywrócenia ich wspólnej władzy w Niemczech oraz natychmiastowe wycofanie wszystkich wojsk okupacyjnych z tego kraju. Zdaniem p. Warburga, „kontynuowanie dyskusji mogło być doprowadzić przynajmniej do zakończenia idyotycznego współzawodnictwa zwycięzców, na korzyść Niemców. Niestety, żaden krok w tym kierunku nie został uczyniony. Nikt nie wszedł w drzwi uchylone przez komunikat warszawski” (s. 67). W sierpniu 1948 r. dyplomaci Zachodu bezskutecznie usiłowali w drodze rokowań doprowadzić do zniesienia przez ZSRR ograniczeń komunikacyjnych z Berlinem. Przyczyną tego niepowodzenia tłumaczy p. Warburg: „Prawdziwa trudność polegała na tym, że Rosjanie chcieli zmusić Zachód do przedyskutowania sprawy porzucenia jego planów wobec Niemiec zachodnich, gdy Zachód starał się uniknąć jakiegokolwiek na ten temat dyskusji. Jednym z powodów dla których Zachód nie chciał rokowań, było to, że rząd Stanów Zjednoczonych rozkochoł się w swej zimnowojennej polityce. Drugi powód polegał na tym, że mocarstwa zachodnie nie miały żadnego planu zjednoczenia Niemiec (...) Prawdziwy kryzys był nie w Berlinie, lecz w Waszyngtonie” (s. 69).

Próba rozwiazania konfliktu berlińskiego na wrześniowej sesji Rady Bezpieczeństwa ONZ, która odbywała się w Paryżu; również zakończyła się niepowodzeniem. Odpowiadając na pytanie dlaczego tak się stało, p. Warburg wyjaśnia: „Tyko zatwardziały cynik mógłby podejrzewać, że przyczyną tego była tak bardzo prosta: delegacja Stanów Zjednoczonych w Paryżu nie chciała poszukiwać wyjścia z impasu berlińskiego

i przedkładała dalsze istnienie mostu powietrznego i wszystkiego co z tym było związane” (s. 70).

Ocenę tę p. Warburg opiera na poufnych sprawozdaniach, złożonym „grupie prywatnych obywateli przez osobnika absolutnie zorientowanego” i choć działa się to dawno, bo w grudniu 1948 r., nazwisko jego w dalszym ciągu nie może być ujawnione. Otóż według tego źródła, uregulowanie problemu walutowego w Berlinie i wielu innych spraw związanych z tym zagadnieniem a umożliwiających zniesienie blokady, było zupełnie realne podczas konferencji paryskiej. Lecz gdyby mocarstwa zachodnie rozwiązały problem berliński, musiałyby się one oczywiście zgodzić na zwołanie konferencji ministrów spraw zagranicznych, w celu przedyskutowania zagadnienia traktatu pokojowego z Niemcami. To zaś uważano za niebezpieczne i niepożądane! Powód: Rosjanie zaproponowaliby zjednoczenie Niemiec zgodnie z porozumieniem poczdamskim oraz wycofanie armii okupacyjnych. Gdybyśmy pozwolili na ustalenie nas w opozycji, stworzylibyśmy Rosjanom korzystną sytuację we współzawodnictwie o względy Niemców, ponieważ oni proponowaliby, my zaś sprzeciwiali się temu, co pragnęła większość Niemców (...) Dlatego - dodawał informator - nasza polityka w Paryżu polegała na uchylaniu się od rozwiązania kryzysu berlińskiego i przedłużaniu korzystnej sytuacji, wytworzonej przez most powietrzny oraz trzymanie się z dala od wszelkiej dyskusji na temat uregulowania kwestii niemieckiej, aż poczynimy postępy w naszych planach” (s. 71).

Planu te zostały wkrótce urzeczywistnione, gdy 21. IX. 1949 r. wszedł w życie Statut Okupacyjny a wraz z tym powstała Niemiecka Republika Federalna. Dopiero potem, w dniu 7. X. 1949 r. ukończyła się Izba Ludowa, parlament Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Dalszych wydarzeń nie trzeba referować, są bowiem powszechnie znane. Nie ma też chyba wątpliwości kto zwinął w sprawie Niemiec.

ADAM LESNIEWSKI

\*) Winston Churchill, Memoiren Band VI, Zweites Buch, Stuttgart 1945, s. 263.  
\*\*) James P. Warburg, Germany, Key to Peace, Harvard University Press, Cambridge, 1953

## Nagrody wojewódzkie

W tym roku, podobnie jak w latach ubiegłych, Wojewódzka Rada Narodowa przyznała nagrody w dziedzinie upowszechnienia kultury. Laureatami zostali: JADWIGA GRODZKA, kierowniczka Muzeum Regionalnego w Łęczycy, STANISŁAW GRABOWSKI, reżyser Wytwórn

Filmów Oświatowych, TADEUSZ PAPIER, pisarz i publicysta oraz MARIAN AJZERT, kolejarz, przewodniczący Komitetu Kultury MRN w Piotrkowie. Każdorazowe przyznanie nagród każe zastanowić się nad ludźmi, którzy je otrzymali, nad ich dorobkiem i znaczeniem,

jakie ich prace posiada dla środowiska i społeczeństwa. Jadwiga Grodzka i Marian Ajzert to od wielu lat zastępcy działacze kultury w swoich dziedzinach. Jadwiga Grodzka jest wybitnym znawcą sztuki ludowej i etnografem, Marian Ajzert należy do tej cennej kadry społeczników, którzy na marginesie pracy zawodowej poświęcają swój czas i energię na działalność upowszechniającą wartości naszej kultury. Tadeusz Papier i

Stanisław Grabowski, pokoleniowo młodszy od poprzednich, mają już na tyle cenny ilościowy i jakościowy dorobek artystyczny (literacki i filmowy), że wybór ich jako laureatów nagród wojewódzkich wydaje się jak najbardziej słuszny. Widzieliśmy kilka filmów Grabowskiego: „Do Studzianny”, „Dziadosz”, „Cztery oblicza Mazowsza”, „Łódź — miasto nieznane”. Grabowski jest jednym z nielicznych reżyserów filmowych, który podjął

jako swoje zadanie artystyczne — utrwalanie ginek folkloru, utrwalanie piękna ziemi ojczystej. Tadeusz Papier, autor licznych powieści, zbiorów opowiadań i reportażów dał się poznać jako autor ciekawej opowieści prozą pt. „Powtórna śmierć Boryny”. Jest to bez wątpienia najpiękniejsza książka Tadeusza Papiera: dojrzała, wzruszająca, pełna poezji. Ale nagrody wojewódzkie, wyróżniające poszczególnych twórców, do-

wodzą jeszcze czegoś więcej: dowodzą prężności środowisk kulturalnych zarówno w Łodzi jak i na terenie województwa. Są więc także akcentem uznania dla szerszych inicjatyw i poczyniń w dziele upowszechnienia kultury.

REDAKCJA „ODGŁOSÓW” PRZYŁĄCZA SIĘ DO GRATULACJI DLA LAUREATÓW I ŻYCZY IM DALSZYCH SUKCESÓW W ICH PIĘKNEJ I POZYTECZNEJ DZIAŁALNOŚCI



# Notatnik studencki

Rozpoczął się więc nowy rok studenckiej pracy. 15-tysięczna „Łódź” akademicka po wakacyjnym odpoczynku ruszyła w dalszą drogę. Na inauguracyjnym spotkaniu w Klubie 77, dnia 30 września, w którym wziął udział wiceminister kultury i sztuki Zygmunt Garstecki, świętowano nie tylko rozpoczęcie roku akademickiego, nowego roku pracy ZSP, ale i początek nowego roku kulturalno-oświatowego. Ostatecznie przecież wszelka działalność naszego środowiska zmierza w tym właśnie kierunku.

Jak zawsze, musi upłynąć nieco czasu, nim cała maszyna kulturalna rozkręci się odpowiednio i nabierze szybkości. Spotrądzili studenckich placówek kulturalnych, najwcześniejszy przystąpił do pracy Klub Studentów Łodzi, popularnie „siodemki”. Już od 1 października organizuje spotkania i dyskusje, proponując swoim bywalcóm szeroki wachlarz tematów: od tendencji tegorocznej mody, przez wierszory literackie, dyskusje o naszych, łódzkich i studenckich sprawach, do zagadnień polityki międzynarodowej włącznie.

Inną zupełnie formą działalności będą organizowane po raz pierwszy w klubie wieczory dyskusyjne, poświęcone zagadnieniom kulturalnym i literackim ZSR. Dyskusje i prelekcje odbywać się będą oczywiście w języku rosyjskim, a poprowadzi je młody poeta radziecki Wasył Kocznow. Spotkania te dadzą uczestnikom możliwość nie tylko zapoznania się z problemami współczesnej literatury radzieckiej, ale i szansę pogłębienia swych umiejętności lingwistycznych. Możemy chyba oczekiwać, że ścisła i tak nie zmiernie śmiercią naturalną z powodu braku słuchaczy.

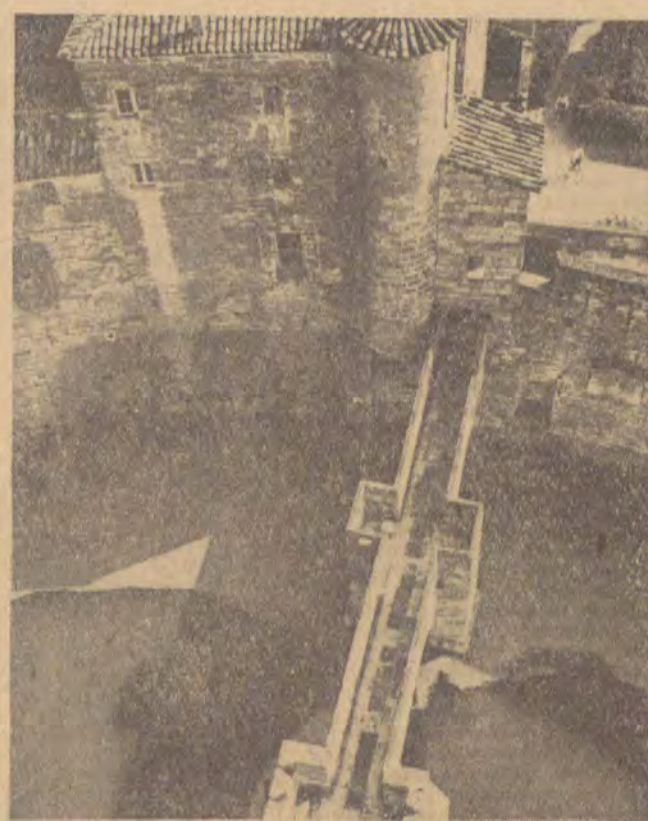
Muszę przy okazji podkreślić, że choć łódzkie „siodemki” wśród wielu krajowych klubów nie są notowane na pierwszym miejscu, gdańskie „Zak”, lub warszawskie „Hybrydy” są na pewno sławniejsze, to jednak przewyższają je wielokrotnie pod względem organizacji, programu i co najważniejsze, wyglądu.

Zupełnie przypadkowo wpadła mi w ręce niewielka książeczka pod tytułem: „Łódź studencka — informator”. Niestety, wydana w roku 1939 przez Radę Okręgową ZSP. Zawarto w niej sumę wiadomości o uczelniach, samorządzie studenckim, placówkach służby zdrowia, kulturalnych etc... Szkoda, że nieco zmodyfikowana i uzupełniona, książeczka ta nie jest szerzej dostępna. Moim skromnym zdaniem, tego rodzaju Vadecum powinno być wręczane razem z indeksem nowo wstępującym na studia. Ułatwiłoby znakomicie zorientowanie się w masie rozrzuconych po całym mieście instytucji przybyszającym spoza miasta.

Wskutek pewnych zahamowań inwestycyjnych, w roku bieżącym w domach akademickich panuje niezły tłok. W pokojach mieszka przeciętnie po pięć osób. W ten sposób osiedle akademickie przy ulicy Lumumby zamieniło się w małe, bo prawie czterotysięczne miasteczko. Zdamy sobie uściszyć sprawę, jak ważne jest w tych trudnych warunkach przestrzeganie zasad zgodnego i poufalego współżycia. Niestety, czasami przybiera ono formy, powiedzielibyśmy ogólnie, dziwaczne. Nie wiem, może to była szalona radę z rozpoczęcia studiów — mówię o koncercie jaki miałem okazję wysłuchać w niedzielę na tymże osiedlu. Tasiemkowe kantaty w wykonaniu ogromnego chóru mieszanego przysparzały mimowolnych słuchaczy o silne komuś. Przy okazji dawały nieletnim możliwość osłuchania się z całym zasobem mocno niecenzuranych słów. Niektórzy przedstawiciele gatunku homo sapiens wciąż uparcie zapominają o fakcie, że nie są nieletni na świecie sami. Szkoda, że domorodni muzycy nie szukają ujęcia dla swych wyjątkowych talentów w bardziej kulturalnych formach.

W poniedziałkowym zebraniu studenckiego Jazz-Clubu wzięła udział tylko niewielka garstka muzyków, tymczasem plany na ten rok zapowiadają się niezwykle interesujące. Już 17 października w sali Filharmonii odbędzie się poranek jazzowy. W przygotowaniu jest także wiele innych imprez. Mnie osobliwie najbardziej zainteresował pomysł zorganizowania w połowie listopada Łódzkiej Jesieni Jazzowej. Warto zaprosić kilka zespołów z innych ośrodków. Po przeszło dwu latach całkowitego zastoiu, Jazz-Club wziął się do pracy z nowym zapałem i mam nadzieję serio. Może wreszcie będziemy mogli posłuchać w Łodzi dobrego jazzu w dobrym wykonaniu.

Początek roku sprzyja zawsze robieniu wszelkich planów, dopiero przyszłość pokazuje w jakim stopniu są one realizowane. Ot, na przykład ja, postanowiłem informować Czytelników o studenckich aktualnościach, ale nie o tym chciałem teraz mówić. Łódzkie teatry studenckie przyzwyczaiły nas do tego, że możemy polegać na ich programach. Starają się, by były one na możliwie wysokim poziomie. Uznanie tego poziomu przyniosła niedawno z Marsylii „Cytrina”. Reszta przystępuje do opracowywania nowych. Jak zwykle na początku jest to ścisła tajemnica. W każdym bądź razie wojny już na pewno, że „Pstrąg” przystąpił do pracy nad nowym, ponoć rewelacyjnym programem. Niewielki Teatr Prób przy RO ZSP chciał się opracowywaniem od dwóch premier, w pozostałych wciąż jeszcze cisza, oby to była cisza przed podniesieniem kurtyny. Nie szkodzi, że przeważnie kurtyny nie ma wcale.



## Tajemnica „Żelaznej Maski”

W powieści Aleksandra Dumasa „Wicehrabia de Bragelonne” oraz w filmie „Żelazna maska” występuje niezwykle zagadkowa XVII-wieczna postać — więzień, którego oblicze kryła żelazna maska, a imię osnuto głęboką tajemnicą. Francuscy historycy i pisarze spierali się przez długie lata, kim był ów człowiek?

Pierwszą wzmiankę o istnieniu tajemniczego więźnia podał Wolter. W roku 1738, w liście do opata Dubos, wspominał o swym uwięzieniu i pobycie w Bastylii. Wolter pisał m. in.: „Wiele dowiedziałem się tutaj o historii mężczyzny w żelaznej masce, który zmarł w Bastylii. Rozmawiałem z ludźmi, którzy mu usługiwali”.

W roku 1751, w pracy „Okres panowania Ludwika XIV” Wolter poświęcił temu wydarzeniu nieco miejsca. „Po śmierci kardynała Mazarini — pisał Wolter — do zamku Pignerol na półwyspie Sainte-Marguerite, sprowadzono w głębokiej tajemnicy więźnia o nieznanym nazwisku. Był to mężczyzna

młody, wzrostu więcej niż średniego, postawy wyjątkowo kształtnej i szlachetnej. Oblicze więźnia kryła szczelnie żelazna maska, ujeta na podbródku w ruchome obręcze ze stali, które pozwalały mu jeść, nie zdejmując jej z twarzy. Strażom nakazano zabijać go, jeśliby spróbował ją zdjąć. Pozostawał na półwyspie do czasu, aż zaufany oficer królewski, nazwiskiem Pignerol, został w roku 1690, mianowany komendantem Bastylii i zabrał go tam ze sobą. Naturalnie w masce. W Bastylii zapewniono mu wszelkie wygody, jakie tylko można stworzyć w warunkach twierdzy. Nie odmawiano mu niczego. Uwieczony miał szczególną słabość do najbardziej cenniejszej, wykwintnej bielizny i koronek. Tajemniczy więzień zmarł w roku 1703 i został pochowany nocą, na cmentarzu Saint-Paul.

Cała ta historia tym większe budzi zainteresowanie, że po uwięzieniu człowieka w masce w zamku Pignerol, nikt nie słyszał, iżby w Europie zaginęła w tym czasie, jakaś znaczna osobistość. Później, w roku 1771, Wolter, odpowiadając na sceptyczny uwagi encyklopedystów, sprzeciwiał własną wersję: „Żelazna maska”, ów tajemniczy więzień zamku Pignerol, a później Bastylii, był bliźniaczym bratem króla Ludwika XIV. Uzasadniając swoje wnioski przytoczył Wolter szereg dowodów, zaczerpniętych ze wspomnień osób, żyjących współcześnie z więźniem. Tę właśnie wersję Wolter wykorzystał Aleksander Dumas w powieści „Wicehrabia de Bragelonne”.

Teraz, o rozwiązanie tej

XVII-wiecznej zagadki pokusił się francuski uczony, pisarz i historyk, członek Akademii Francuskiej, Marcel Pagnol. Niedawno, na półkach księgarskich, ukazała się jego książka pt. „Żelazna maska”, w której, opierając się na archiwalnych dokumentach odnalezionych w ostatnim dziesięcioleciu, Pagnol podejmuje próbe wyjaśnienia tajemnicy człowieka w żelaznej masce. Autor książki potwierdza wersję Woltera i na dowód cytuje ściśle tajne pisma króla Ludwika XIV do komendanta Bastylii Saint-Marc’a oraz tajną korespondencję między komendantem Saint-Marc’a a ówczesnym kanclerzem Louvois, w sprawie wydatków na utrzymanie więźnia. W wielu pismach i listach figuruje rzeźkome imię i nazwisko uwiecznionego: Eustache Dogé. Bardzo często pojawia się natarczywe polecenie: „Zwracać pilną uwagę na najściślej izolację więźnia”.

Pagnol wyjaśnił, że mężczyzna o tym nazwisku: Eustache Dogé de Cabois, zresztą brat kwatremistrza królewskich wojsk, był rzeczywiście więziony w tej pancernej twierdzy. Lecz tylko jeden rok. A wszak nieznajomy w masce przebywał w odosobnieniu aż 34 lata. Poza tym prawdziwy Dogé nie był znoważ, ale tak znikomą osobistością, żeby stosować wobec niego tak daleko idące środki ostrożności. „Eustache Dogé” był więc pseudonimem, który nadano więźniowi w masce.

Profesor Pagnol odrzuca wyjaśnienia królów Ludwika XV i Ludwika XVI, jako by uwięzionym w masce był Włoch, hrabia de Mattioli, który z premedytacją wlaścił się do Ludwika XIV w niebezpieczną intrygę polityczną. Tak, to prawda, że królewscy oficerowie porwali hrabiego de Mattioli z Włoch i, na rozkaz Ludwika XIV, wtroczyli go do lochów w zamku Pignerol, w Piemont. Tylko że nieszczyśny hrabia nigdy już tego zamku nie opuścił. A przecież trzymamy w podziemiach „Eustache Dogé” jeszcze dziesięć lat męczył się w Bastylii.

Autor podkreśla w książce wyjątkowe warunki, w jakich przebywał tajemniczy więzień. Więzień, w oficjalnych pismach do władz, nazywał siebie „nieszczęśliwym”, „niegodnym”, „sługą”. W tym samym czasie władze cytadeł stwarzały mu maksymalnie dobre warunki więziennego egzystencji, wszelkie zawsze przy jednym ograniczeniu — nieodjeżdżania z maski. W zamku Pignerol strzeżono go siedmiuset dozorców, w Bastylii przebywał w jednolitej osobowej celi. Kontaktowali się z nim zawsze ci sami ludzie i wszyscy oni ze skromnych, nieetatowych strażników, jakimi byli w zamku Pignerol, awansowali do dość wysokich stopni służbowych w Bastylii, głównym więzieniu królewskim.

„Zbadanie mnóstwa doku-

mentów — pisał prof. Pagnol — utwierdziło mnie w przekonaniu, że więźnia pilnowali stale ci sami strażnicy, nie odstępując go we dnie i w nocy i nie dopuszczając doń osób postronnych”.

W zakończeniu książki, historyk i pisarz w jednej osobie, konkluduje: więzień zwany „Żelazną Maską” istniał rzeczywiście i był bliźniaczym bratem króla Ludwika XIV, Zona Ludwika XIII, Anna-Austriaczka — powiła bliźniaki, jednakże poddanym ich królewskich mości wyjawiono imię jedyne następcy tronu. Żeby uniknąć w przyszłości komplikacji i zamętu, król Ludwik XIII i kardynał Richelieu postanowili zgodnie ukryć chłopca-bliźniaka. W głębokiej tajemnicy wywieziono go do Anglii i oddano na wychowanie, przebywając tam naówczas, francuskiej księżniczce Henriecie.

Sukcesor kardynała Richelieu — Mazarin znalazł tajemnicę królewskiego bliźniaka, lecz dopiero jego następca, kanclerz Louvois, również wtajemniczony w tę całą historię, opowiedział ją, panującemu już wówczas, Ludwikowi XIV. Król, lekając się ewentualnego pretendenta do podziału władzy królewskiej postanowił na zawsze uwolnić się od brata. Wezwano go, w roku 1669, bliźniaka do Francji i aresztowano w Dunkierce, zaledwie zdążył wysiąść na ląd. Niezwłocznie też, pod silną eskortą i w najbardziej tajemniczy, przeprawy transportowano królewskiego więźnia do Piemontu. Pagnol cytując ściśle tajne pismo kanclerza Louvois do gubernatora Dunkierki, w którym kaze mu aresztować człowieka o nazwisku Eustache Dogé. Nazwisko to wpisano na rozkazie aresztowania w ostatniej chwili, i tylko na odpisie. Do czego była potrzebna maska? To oczywiście: żeby ukryć uderzające podobieństwo bliźniaka do króla.

Książka Marcela Pagnola i jego gruntowne udokumentowanie wywoływały rozpalające polemiki w środowisku francuskich historyków. Nie wszyscy zgadzają się z autorem, lecz nawet główny i najbardziej uparty oponent, historyk Georges Montgredien, przyznaje, iż Pagnol „zabrał i przedstawił dokumenty, w których nie sposób znaleźć ani jednej luki, ani jednej omyłki”.

Czy Marcel Pagnol wyśnił wreszcie tę mroczną, XVII-wieczną tajemnicę francuskiej historii? Autor żywi głębokie przekonanie, iż z całą skrupulatnością odtworzył te dokumenty i świadectwa historyczne, które pozostały w srodku po epoce Ludwika XIV. Tak jest z pewnością. W tej dokumentarnej pracy, współczesny czytelnik może w szczególności prześledzić wstrząsający dramat historyczny, w którym centralną postacią był człowiek w żelaznej masce.

— powiedział bufetowa (w P. nie ma szpitala) — Odrzynał mu dwie nogi.

— Ale, ale — zaprotestował jeden z robotników. — Słyszałem, że go zabrali do Łodzi.

— Tak jest — odrzekła bufetowa. — Na drugą sekcję. Teraz odrzynał mu ręce i głowę.

— Jak oni go pochowają — zastanowił się robotnik.

— W metalowej trumnie — odrzekł inny. — Będzie dużo krwi. Chodzi, żeby nie przeciekala.

Bufetowa i robotnicy zaczęli z kolei ustalać przyczynę śmierci Z. H. W konkluzji zgodni brzmiano: wdowa po Z. H. to suka. Napuściła swych kochanków. Oni dali mu pięć, potem siekiera po głowie. A następnie zawiedli na tor, aby upozorować wypadek. Wdowa ani jej rodzice na miejsce wypadku nie przyszli — to obciąża ich ostatecznie. Wdowa śmiała się na wieść o śmierci męża. W najbliższym czasie ukatrupi także swoje dwumiesięczne dziecko.

Według motocyklisty, który wioził mnie ze stacji do P., dwudziestodwuletni Z. H. został zabity przez rodzinę żony do lasu, a następnie zaszczytnie na śmierć psami.

— Teściu — konkludował motocyklista — zawiódł potem nieboszczyka nad tor. Byli ludzie, co widzieli, ino boją się mówić.

Dowodem ostatecznym tego rozumowania było miejsce wypadku znajdujące się na wprost gospodarstwa teścia oraz „dziłki wzrok” ojca wdowy.

Kopalnia przeróżnych wersji tragedii jest samo miasto. Człowiek rymarz, co to chleb jadł z wielu pieców, autorytatywnie stwierdził, że w dzień śmierci swojej, Z. H. zlał żonę in flagranti z kochankiem.

— Tegul nie wytrzymał — zakończył rymarz. — Powiedział do niej: „Idę się zabić”, a ona „Idź, idź”, — Wziął i położył łeb na toze.

## Piorunochron

### Dalszy ciąg ze str. 1

działalność rozrywkowa — kawa, słuchanie radia, czytanie czasopism.

Rzecz ciekawa w P. nie ma chuliganów. Jest przeważnie spokojnie, a ciszę rozrywają tylko głucho wyjące psy. W „Kolorowej” pije się tego, do dechy — jednak rzadko wynika z tego awantury. Sytuacja całkiem nietypowa, no bo patrzcie — brak domu kultury, kawiarni, teatru, jakiegokolwiek sali na zabawę, w kinie „Święte” od tygodnia nudzi „Upał”, boisko sportowe porośnięte chwastami, ulice ciemne, do bójkę wyśnione — a chuliganów brak.

W powyższej sytuacji, rozsądnym posunięciem wydaje się nieplanowanie tu budowy żadnych instytucji kulturalnych. Niech domy, kawiarnie i sale do tańca mają pierwszeństwo do powstawania w miastach trudnych, rozwyzdronych, przepelnionych czupurna młodzieżą. Niech rozkładają w nich atmosferę i w zaciśnięte do bójkę pięści wciąż instrument muzyczny, pędzel

str. 4

do malowania lub książkę. P. pięści nie ścisła. P. tego, przynajmniej — na razie, nie trzeba. W P. piorunochronem — katalizatorem rozładującym ciężką atmosferę nudy, ospałości i spleenu — są wypadki. Drogowe, kolejowe, związane z ogniem i wodą. Interpretowane zawsze na sto różnych sposobów. Wciągające w orbitę wszystkich ludzi. Potrafiące zabawić tak szczeniaka z klubokawiarń (w dni powszednie radia słucha i gdy big-beat grają, on mówi — lubię, to jest Presley — mistrz świata) jak staruszkę spod kościoła wietrzącą wyczulonym zmysłem wielki pogrzeb. Wypadki są na każde utrapienie, na wszelaki humor. Na nudę, brak kultury i spleen.

Uwaga. Nocą z 22 na 23 bm. na torach kolejowych, w położonej obok P. wsi — znalazł śmierć 22-letni Z. H., student piątego roku Politechniki Częstochowskiej. Obrażenia jakie odniósł, wydały się mieszkańcom P. nieco dziwne. Miasto zawrzało od początków po krańce. Wypadek? Samobójstwo? Nie! Morderstwo! Ani chybi — właśnie morderstwo! 3.800 osób zaopiniowało: morderstwo! Wobec tego prokurator zażądał śledztwa. Wbrew stwierdzeniom lekarza i dochodzeniom MO. Dla tych było to samobójstwo lub nieszczęśliwy wypadek. Ale w naszym kraju głos opinii publicznej się liczy. Nie wolno go bagatelizować. Więc doszło do sekcji. Ciało — w mniemaniu mieszkańców — zostało rozczłonkowane. Nogi i ręce oddzielono od tułowia. Odrznięto zmarłemu głowę. W rzeczywistości — ciało stało się piorunochronem. Do dziś biją w niego uwagi mieszkańców P. rozładując ciężką atmosferę miasta.

2.

Zaraz na małej, pazernej stacyjce, oddalonej od P. trzema kilometrami wyboistej drogi, dowiedziałem się — od bufetowej i kolejowych robotników, że trumna, w której Z. H. zostanie pochowany, nie będzie z drzewa...



— Jak oni go ubiorą.

— Ech, nie ubiorą. Buty i garnitur włożą do trumny, to pewne. Ale ubrać, nie ubiorą.

Pociąg musiał mu obciąć ręce i nogi — pomyślałem. Stąd kłopoty z ubraniem.

— Wczoraj jeden dochtór robił mu suk-



# Rzym popułnił samobójstwo

Amerkański historyk medycyny dr S. C. Gilfillan opublikował prace naukowe oparte na wieloletnich badaniach z dziedziny toksykologii, archeologii i statystyki, które końcowe wnioski wskazują na zupełne nieznanie dotąd powodów upadku Cesarstwa Rzymskiego. Profesor — jak sam to wyznał w przedmowie — szukał przyczyn nagłego upadku sztuki, stagnacji postępu, zaniku nauk ogólnych, które wystąpiły w drugim stuleciu naszej ery.

Był lekarzem i historykiem medycyny nie interesował się jednak dotychczasowymi tropami tych kłeszek, wskazywanymi przez historyków. Stwierdził natomiast, że w tym celu przeprowadził poważną ilość kosztownych analiz szczątków kostnych z krytycznego okresu historii Rzymu i tak o pierwszym doszedł do zaskakującej konkluzji: okazało się bowiem, że w kościach Rzymian należało do wyższych warstw społecznych — analiza ujawniała tak wysoką zawartość ołowiu, iż oczywiście stało się, że niemal wszyscy członkowie rzymskiego patrycjatu umierali bądź bezpośrednio na zatrucie ołowiem, bądź też na pośrednie skutki takiego właśnie zatrucia.

Dalsze badania profesora Gilfillana ujawniły, że zatrucie ołowiem jako przyczyna chorób była dobrze znana Rzymianom: wskazują na to pisma z wcześniejszych wieków, okresów medycyny rzymskiej. Nowoczesna nauka wie jednak więcej niż eskulapowie antycznego Imperium. Przy długotrwałym podawaniu, już miligram ołowiu dziennie może powodować poważne objawy zatrucia. Pierwszymi jej symptomami są chroniczne zaparcia, anemia, wychudzenie, bóle stawów — a w następstwach nawet paraliż, ślepotę i zaburzenia psychiczne.

Prof. Gilfillan szczególnie jednak uwagę zwraca na fakt, iż długotrwałe zatrucie ołowiem nieuchronnie prowadzi do bezpłodności, przedwczesnych porodów i śmierci płodu.

Skojarzenie objawów zatrucia ołowiem i tych skutków fizjologicznych nasunęło prof. Gilfillanowi przypuszczenie, iż właśnie owo przeprowadzone na gigantycznej skali trucicielstwo stało się przyczyną upadku Imperium. Lecz kto był trucicielem? Obecność śladów ołowiu w kościach osobników pochodzących z wyższych warstw cesarstwa nasuwała podejrzenie, iż przyczyną zatrucia mogły być jakieś czynniki — może pokarm, a może przedmioty codziennego użytku — które dla plebsu były niedostępne. Całe lata zajęło prof. Gilfillanowi tropienie śladów ołowiu w znalezionych szkieletach niewolników i plebejuszy. Wyniki tych badań były zaskakujące: Oto w środowisku plebskim zatrucia występowały w minimalnym stopniu. W środowisku niewolników nie zdarzały się, jeśli pracowali oni jako robotnicy rolni, w kamieniołomach, przy budowaniu dróg itp. Natomiast niewolnicy — członkowie tzw. familli — a więc spożywający posiłki swoich panów i żyjący w ich domostwach — umierali na zatrucie ołowiem. Wniosek z tych odkryć jeszcze bardziej podkreślał prawdopodobieństwo, iż trucicielem był jakiś przedmiot, lub może jakiś powszechnie spożywany, a dostępny tylko dla bogaczy pokarm.

Idąc tym tropem prof. Gilfillan odkrył, że rzeczywiste przyczyny upadku potęgi Cesarstwa: Rzymianie z wyższych warstw używali naczyń bielenych ołowiem. Zastaw, a w szczególności puchary do wina i naczynia do wody, były zazwyczaj ołowiane. Woda pitna doprowadzana była rurami ołowianymi. Malarstwo ściennie opierało się na farbach o wysokiej zawartości ołowiu. Prof. Gilfillan ujawnił, iż czarnaśń różnych dróg, którymi dostawał się ołów do organizmu Rzymianina — bogacza, Stwarzało to oczywiście ogromne prawdopodobieństwo chronicznego zatrucia ołowiem, ale wśród tych ciichych, niedostrzegalnych trucie-

cieli był i główny sprawca masowego mordu. Jak wiadomo Rzymianie uważali cukier indyjski za przedmiot najwyższego luksusu. Do codziennych celów służył wórn winogronowy zgeschczony specjalną procedurą i dodawany do pokarmów, a równie i do wina. Ow słodki syrop — o czym starożytni wiedzieli — działał konserwująco i bakterioobójczo. Stano- wił przysmak dość drogi, a więc dostępny tylko ludzom zamożnym. Sposób przyrządzania syropu jest nam dobrze znany: zachowały się bowiem przepisy z dwóch pierwszych wieków naszej ery. W receptach mówi się wyraźnie, że długotrwałe warzenie syropu należy prowadzić w naczyniach bielenych ołowiem i właśnie ten proces gotowania soku owocowego w naczyniu ołowianym dawał wysoka zawartość ołowiu i jego pochodnych w produkcie ostatecznym. Zresztą właśnie zawartość związków ołowiu w syropie nadawała mu właściwość konserwującą.

Czyżby więc Cesarstwo umarło śmiercią samobójczą? — Gilfillan w swej pracy wskazuje na to, że niemal wszyscy cesarze rzymscy tego okresu nie mieli potomków — następów tronu, że np. Owidiusz pozornie zdrowy, i aż czterech razy żonaty spłodził tylko jedną chorowitą córkę, że bezpotomnie wymierała niemal cała arystokracja Wiecznego Miasta. Można oczywiście postawić pytanie, czy śmierć tej arystokracji miała aż takie znaczenie dla Imperium i czy luka nie mogła być wypełniona awansującym plebem. Prof. Gilfillan tak zamyka swój wywód: „Wprawdzie nalenie- gniejsi z plebejuszy potrafili awansować i wejść do kasty rządzącej, ale ten awans był równoznaczny z wyrokiem śmierci. Działo się z nimi podobnie jak ze zwierzętami ofiarnymi przeznaczonymi dla świątyni — byli teraz znakomicie odżywieni i w wieńcach z kwiatów maszerowali w stronę ofiarnych ołtarzy. Wchodząc do klas zamożnych, przyjmowali obyczaje tych klas, jedli ich pokarm, pili ich wino. Ołow towarzyszył temu luksusowi i był wysłannikiem śmierci”.



Owego kochanka rymarz zna, ino bol mowić. Bardzo logiczną motywację śmierci Z. H. przedstawili mi rajujący pod miejską chałupą gosposie:

— Wszystko poszło o robotę. Una chciała, żeby un dyrektował w W., a nie w S., bo tam miał kochankę. Un upierał się, że S. to ona powiedziała: jak ty tak mówisz — to ja ide. I zabrała dziecko. Potem wróciła niby to po zęcy i wyspała chyl- niem cūs do garnka. Jego cūs tchło, ale beł młody i zjod bulwy, a tom beła truciźna. Una z matką zatascyły jego na tory i wz- użły pod pociąg.

Krew. Albo raczej brak krwi. Na to- nich kolejowych pod Wistką, gdzie spełniła się tragedia, nie było krwi. Zaledwie parę kropel. Wskazuje to, niebicie, że Z. H. zamordowano wcześniej, przed podłożeniem pod pociąg, które miało pozorować wypa- dek. Zdanie owo — wygłoszone przez miejscowego roztropka — przekonało wszystkich. Być może, wzbudziło także po- wierzenia w lekarza, co skądinąd musiał powiedzieć, że rany miażdżone, zadane tępym przedmiotem ale z wielką siłą, powodują natychmiastową śmierć i krwotoki wewnętrzne i na po- zewnątrz krwi nie wydzielają.

Najoryginalniejszych wersji o śmierci nie- szczęśliwego inżyniera krąży w P. znacznie więcej. Wszystkich przytoczyć tu nie spo- daję. Najbardziej bezsensowne mają zwią- zek z religią i czarna magią, a wzbogacają- cym wymowę pikantne wątki erotyczne. Wniosłem wrażenie, że ambicja każdego z mieszkańców miasteczka jest posiadaniem in- dywidualnego sadu o tragedii. Zabawa w de- tektywa i prokuratora z powodzeniem kom- pensuje brak obiektów kulturalnych, brak głębokich wzruszeń i sportowych emocji. Domniemane morderstwo rozszerza- ją, wydziela z ust ślino, a głos ludzki w- szedłszy do szeptu: „Ja wiem, ino boję się mówić”.

Mieszkańcy miasteczka popadają również w fetyzyszację. Tuż po wypadku w plótki morderstwie nie uwierzyli tylko władze

miejskie i powiatowe, milicjanci oraz leka- rze. Do sekcji doszło pod wpływem opinii publicznej bazującej na plotkach. Obecnie zaś — najmocniejszym argumentem każde- go plotkacza: „prokuratora”, „sędziego” i „detektywa” z powiatowego miasta P., ar- gumentem wspierającym tezę, że „coś tam musi być nie w porządku” jest właśnie... — Gdyby nie było morderstwa, nie by- łoby sekcji zwłoków!

Fetyzyszacja ma w tym względzie dwa oblicza. Sekcja „zwłoków”, spowodowana przez ogół mieszkańców, przez chorobliwą perwersyjną fantazję, pozostaje, w ich mniemaniu, najgorszą obrazą dla Bogów i ludzi, najboleśniejszą tragedią dla rodziny zmarłego. Nie sama śmierć, a właśnie sek- cja „zwłoków”, z którą związane są stalo- we trumny, a rozwiązane poszczególne czę- ści ciała — głowa, ręce i nogi.

3. Jak już wspominałem — w Powiatowej Komendzie Milicji Obywatelskiej morder- stwa nie podejrzewano. Młoda wdowa, mat- ka dwumiesięcznego dziecka, będąca w opi- ni miasteczka osobą zepsutą, zwyrodniałą, całkowicie na śmierć męża obojętną, ba... demonstracyjnie z tego faktu zadowolona, okazała w świetle wersji milicyjnej, opartej na wnikliwych badaniach, oblicze zgoła odmienne. Powiedzieć, że rozpocz- a — to mało. Pozostaje pod stałą opieką leka- rza, stan jej graniczy z obłędem i budzi poważne obawy. Na wieść o śmierci męża mdlała czterokrotnie. Zapaści te powtarza- ły się w ciągu następnych dni również czę- sto.

Pogłoski o ciężkiej chorobie wdowy, mieszkańcy P. kwitują śmiechem. „Udaje chamra, nie jej nie jest”. Sceptycznie także spoglądają na brata wdowy, który dzień w dzień przyjeżdża do P., aby dzielić ból najbliższych zmarłego. — „Na pewno w tym maczał palec”. (Mało kto wie, że chłopak mieszka na sta- le w Bytomiu, gdzie pracuje jako górnik,

# „Winne są kobiety”

W rozmowie z amerykańską dziennikarką, Leslie Winter Strom, wiości aktor Mastroianni wypowiada się na łamach tygodnika „Epo- ca” na temat współczesnej kobiety.



LWS: Twierdzi Pan, że mężczyźni upodoba- niąją się do kobiet, a kobiety do mężczyzn. Jak Pan doszedł do tego wniosku?

MASTROIANNI: Widzę, że kobiety stają się coraz bardziej męskie.

LWS: A może, po prostu usiłują odnaleźć swoją prawdziwą naturę?

MASTROIANNI: W ciągu wieków kobiety ulegały mężczyznom, ale wojny, rewolucje i inne przyczyny sprawiły, że mężczyźni w stosunku do kobiet wykazują coraz większą słabość.

LWS: Socjologowie utrzymują, że ta uleg- łość kobiet wobec mężczyzn jest osobliwie trwałym zjawiskiem społecznym. Opinia, że kobieta stoi na niższym poziomie umyślo- wym, niż mężczyzna utrzymuje się powsze- chnie nawet i dziś.

MASTROIANNI: Czym wobec tego tłumaczy Pan poczucie niższości, jakie tkwi w samej psychice kobiecej.

LWS: Chyba kluczem do rozwiązania tego pro- blemu, znajduje się w macierzyństwie, które determinuje pozycję kobiety i opóźnia jej samodzielnosć.

MASTROIANNI: Czy to znaczy, że nieba- wem nie będzie już matek? Nie mogą przy- znać Pan racji. Nie podobają mi się dzisiej- sze kobiety, żadne zajęcie miejsce mężczyzny. Amerykanki są smutne, osamotnione, myślą, że zdobyły wolność a są pełne rozpacz. Dla- czego kobiety chcą koniecznie naśladować mężczyzn?

LWS: Bo pragną korzystać w pełni ze swej indywidualności. Jeżeli kobieta może być dobrym matematykiem, dlaczego na tej dro- dze nie ma służyć społeczeństwu?

MASTROIANNI: Mężczyźni są na pewno in- telligentniejsi od kobiet, więc jest przesada, twierdzić, że kobiety są uzdolnione w każ- dym kierunku. Niech pilnują rodziny i domu.

LWS: Czy Pan nigdy nie zastanawiał się nad tym, że dążenie do niezależności nie przeszkadza kobiecie być dobrą matką i żo- ną.

MASTROIANNI: Może tak jest, ale ja jes- tem Włochem. Ja chcę czuć się panem i władać, nie podlegać mnie nowoczesna kobie- ta, nie chciałabym mieć z nią dzieci. Lubię kobiety delikatne i bezbronne. Z sylwetką

kobiet, jaką Pani rysuje, te sprawy nie da- dza się pogodzić.

LWS: Dzisiejsza kobieta, nie podporządko- wująca się woli mężczyzny, potrafi być bar- dziej wyrozumiała i bardziej serdeczna.

MASTROIANNI: „Chyba w jakimś ideal- nym świecie”.

LWS: W N. Jorku kobiety wykształcone są najlepszymi matkami i żonami.

MASTROIANNI: Nie mogę temu zaprzeczyć, ale obawiam się, że przyszłe pokolenia nie będą szczęśliwsze niż nasze. Dawniejsze ko- biety bardziej mi odpowiadały niż współcze- sne — pewnie siebie i trudne do zdobycia. Może nasi synowie i wnuki będą inaczej pa- trzeć na te sprawy, ale ja nie mam złudzeń, zwłaszcza kiedy widzę, że wszystko idzie ku gorszemu. Jeżeli kobieta chce, aby mężczyz- na czuli swoją wartość, musi mieć dużo in- telligencji i delikatności.

LWS: My, Amerykanki, uważamy, że szacu- nek to nie sprawa przewagi czy współzawo- dnicstwa. Mężczyźni nie tracą swojej pozycji w rodzinie, bo żona wykształcona — nieza- leżnie od tego, jaki test jej zawód — będzie zawsze liczyć na pomoc męża. Uważam, że ewolucja kobiet wiąże się z rozwojem psy- chologii i z poczuciem wartości, którego ko- biety nabyły z racji swego stanowiska.

MASTROIANNI: Tu się z Panią zgadzam. Ale mimo wszystko wolę epokę mojego dзиа- ka. Mój dziadek żył 90 lat i podziwiałem je- go autorytet w rodzinie. Dziadek był praw- dziwym „władcą”. W naszych czasach wszy- scy czujemy się zagubieni i kobiety w tym okresie przejściowym nie znajdują w męży- źnie bezpiecznego oparcia. Może za lat 50 osiągniemy stabilizację — ale dlaczego kobie- ty ze swoją emancypacją nie mogą poczekać jeszcze 30 lat?

LWS: A co Pan sądzi o rozwodach?

MASTROIANNI: Jak Pani wiadomo, we Włoszech rozwód jest zabroniony. W ten spo- sób chce się małżeństwo uczynić świętym, pięknym. Ale rzeczywistość temu przeczy. Zdrada jest sprawą powszechną i traktuje się ją lekko. Konsekwencje natomiast są po- ważne. Często nieudane małżeństwa kończą się związkami nielegalnymi, a los dzieci z te- go związku, porzawionych nazwiska, jest wprost tragiczny.

LWS: Czy nie uważa Pan, że psychologia będzie w stanie pomóc w rozwiązaniu wielu problemów. Czy nie zrobiła już wiele, elimi- nując błędne koncepcje, jakie obowiązywały jeszcze dwie poprzednie generacje?

MASTROIANNI: Co Pani ma na myśli?

LWS: Na przykład — wychowanie dzieci. Nowe metody pedagogiczne sprawiają, że dzie- ci będą lepsze od nas. Już mamy tego zapo- wiedź i w filmie U Felliniego w „Osium i pół” patrzymy na człowieka, który czegoś szuka...

MASTROIANNI: W tych filmach bohaterow- wie, których grałem są podobni do mnie. U Felliniego nie czułem się aktorem recytu- jącym rolę ale człowiekiem, który żyje swo- im własnym życiem, grałem tę rolę, bo chcia- łem zrozumieć samego siebie, a to było naj- lepsze lustro dla mojego „Ja”.

LWS: Ten szukający wciąż czegoś człowiek zdawał się wiedzieć „a priori”, że jego wy- siksi są daremne.

MASTROIANNI: Rzeczywiście.

LWS: A jednak nie zrezygnował.

MASTROIANNI: Ja też tak postępuję. Zaw- sze starałem się być uczciwym i do dziś mam duży szacunek dla ludzi uczciwych. Mimo to — podziwiam mnie ci, którzy prowadzą po- dwójną grę i zadają sobie pytanie dlaczego nie mógłbym postępować jak oni. Jestem — jak Pani widzi — człowiekiem kompromi- su, nie chcę, aby uważano mnie za typ bo- hatera. Patrzę tylko i obserwuję innych.

LWS: To już filozofia egzystencjalistyczna?

MASTROIANNI: To prawda, że mówią o mnie jako o aktorze mimo woli. Zapewne tak jest.

LWS: Chyba w naszej rozmowie poszliśmy już za daleko. Nie bierzmy tego zbyt serio.

MASTROIANNI: Ja jednak myślę, że wszy- stkie problemy tak osobiste jak i zawodowe należy rozpatrywać poważnie. Ostatnio na przykład, w filmie „Casanova 70”, grałem rolę człowieka chorego psychicznie, któremu ukradziono berło — symbol władzy. Starałem się osmieszyć pewne sytuacje i chcę, aby lu- dzie patrzący na ten film także się śmiali. Zawsze mam coś wspólnego z postacią, którą odgrywam i kto wie, który z dwóch Mastro- iannich jest bardziej prawdziwy. A może jestem takim właśnie jak Casanova z tego filmu?

M. TYMOWSKA

że został wezwany telegraficznie, już po wypadku, a więc stoi poza wszelkim po- dejrzeniem).

Nikt również nie wierzy w „boleść” teś- cia, który pozostawał z Z. H. w jak naj- lepszych stosunkach. „Na ciału popatrzyć nie poszedł. Coś mu pewnikiem doskwirło”.

Stosunkowo najmniej wątpliwości, co do charakteru śmierci Z. H., żywi jego rodzi- na. Na małym wiejskim podwórku — o morderstwie się nie mówi. Nie czas po te- mu. Nie miejsce. Milcza nawet kumoszki, co przyszły zaciągnąć języka i napić się cudzych łez. Z trudem, ale milczą, otaczając nieszcześliwą matkę ciasnym pierścieniem.

Matka Z. H. od dwóch dni żyje na zastrzy- kach. Ma nieprzytomne, puste oczy, wy- plakane do dna. Boję się spojrzeć jej w twarz. Boję się pytać o cokolwiek. Ona jed- nak znajduje się, aby mówić. Musi mówić. O swej niespełnionej nadziei — losie, na który postawiła wszystko, który już... już miała wygrać. Z trudem wyniosła to dzie- cko z wojny. W 1939 roku zginął jej mąż i przez okupację przeżywała się sama. Wraz z drugim mężem, ojczymem zmarłego, nie- dojadali, aby Z. H. wykształcił. Zabraniali mu pracować w polu, pomagać w domu, dorabiał groza w mieście. Ucz się — mó- wili — tyś do tego zdolny. Słubowi Z. H. byli w zasadzie przeciwni. Nie kierowali się jednak fałszywą ambicją, że chłopka z W. partią dla młodego inżyniera jest nieodpowiednia. Chodziło tu raczej o oba- wy, iż przeszkodzi mu w nauce. Lecz Z. H. postawił na swoim. Zamieszkał w W., u teściów. Kiedy zaczęło dochodzić do niepo- rozumień między nim a matką żony, mło- dziż przeniesli się na „komorne”. Ona, mat- ka Z. H., proponowała im swoje pokoje, ale byli ambitni, odmówili. Niedawno do- czekali się dziecka. Po raz ostatni widziała syna 22 września po południu. Powiedział jej o kłótni, po której żona zabrała nie- mówię i odeszła od niego do rodziców. Był zrozpaczony, podenerwowany, przemęczony ponadto pisanie magisterskiej pracy, wy- stukiwanej po całych dniach na maszynie.

Jak się później okazało, zajął tego wie- czoru do kieliszka.

Nie, rodzina Z. H. o morderstwie nie mó- wi. Może wypadek? Może samobójstwo? Ale to jest bez znaczenia. Rodzaj śmierci tra- gedii nie zmniejsza. Rodzaj, albo próby ustalenia rodzaju, obchodzi wszystkich prócz rodziny. Wszystkich, co łakną sen- sacji, niezdrowych wzruszeń i ofiarnego kozła.

4.

Na ten pogrzeb wyległo całe miasto. Nie przyszedł tylko ksiądz, bo w gazecie, ktoś nieupoważniony określił Z. H. jako samo- bójcę. Aby ksiądz mógł towarzyszyć samo- bójcy, musi mieć zezwolenie kurii bisku- piej, a ksiądz nie miał i nie pomógł żad- ne próśby...

Przed pogrzebem, P. przewidywało, że nikt z W. się nie zjawi, że to będzie zbrod- nia niesłychana. Ale przyjechali. Taksów- kami i na rowerach. W czarnych chust- nach, w lichutkich sztywno wykrochma- lonych koszulach. Przyjechali i szli w ogonie konduktu smagani błuźniętstwem i kłatwą. Wdowa po zmarłym jechała taksówką — była obłożnie chora. Rozhisteryzowany tłum chciał wyciągnąć ją z wozu. „Widmami chamre!”, „Na noszach, ale przy trumnie!”

Przed kościołem kondukt rozszalał się, aby zatarasować chorej wejście. Groził lin- czem. Wówczas zemściła i w beznadziej- nym stanie taksówkarz odwiózł ją na po- gotowie.

4. Ale zabawa trwa dalej. Zgłodniała gry orkiestra kłóci się o utwo- ry. Trabki są za marszem numer 4, klar- nety pragną piszczeć marsza numer 5.

Na cmentarzu — kilkadziesiąt osób walczy już o miejsca przy grobie, choć kondukt jesz- cze daleko...

Drepczące za trumną babę, tokują wściekle... Sekcja nie nie wykazała, ale one wiedzą lepiej...

„Ino boją się mówić”

ANDRZEJ MAKOWIECKI

str. 5



MIODRAG BULATOVIĆ

# Śmierć żołnierza Augusta Napolitano

„Wojna, sława i niemoralność są jednym i tym samym”.

Z gitarą przewieszoną przez ramię, zsunawszy kępi na tył głowy, siedzi Augusto Napolitano wąską drogą i pośpiewując kołysał się nad przepaściami. Most i rzeka były niedaleko, i objęła go cicha radość. W powietrzu pachniało spalenizną, która wżerała mu się w oczy, błędnym wzrokiem po szczytach gór — w szczelinach bieleł się zeszłoroczny śnieg. Tam można by wypożyczyć, powiedział do siebie. Tam w górę chętnie bym zamknął oczy, i skonał, nuciąc porcherie: pożegnałbym słońce, trawę i las i osunął się w przepaść, tam, gdzie już od dawna na mnie się czeka.

Gdy tak marzył o górach, świeżym wypoczynku i bluszczynym śniegu, mijali go motocykliści. Pojawili się nagle zza zakrętu, tam, gdzie zwężała się rzeka, a droga wspięła się stromizną pod górę.

Podskakiwali na nierównościach, może z brawury, lub bez powodu pedzili tak dzioko, z głośnym warkotem, bez tłumika. Wygodni pasterze powstrzymali zalekione bydlęta i spoglądali na drogę trawianą szaleńczą jazdą.

Ciepłota nawet go nie zauważyła. I nim jeszcze opadł kurz, Augusto pozwolił sobie na jeden tyk, i odetchnął. Dopiero potem przyjrzał się motocykliście, który został w tyle, zatrzymując gwałtownie swój pojazd. Wypil raz jeszcze, nie odrywając oczu: w niskiej przyczepce leżała półnaga, złowrogo patrząca kobieta.

— My wojujemy, a ty śpisz? — ofuknął go motocyklista, podciągając okulary na brzeg hełmu.

— Tak już jest — odparł Augusto nie wiele się zastanawiając.

— Uważasz, że nie trzeba nas pozdrowić? — powiedział jadowicie motocyklista.

Augusto Napolitano uniósł butelkę.

— Nie umiesz inaczej pozdrowić czarnych koszul? — spytał motocyklista.

— Tak pozdrawiam cały świat — powiedział Augusto i zaśmiał się do siebie.

— W porządku, to chodź tu bliżej, — głos czarnej koszuły zabrzmiał groźnie, zadusił motor. — Mam ochotę odpowiedzieć na twoje pozdrowienie.

Napolitano zszedł ze skarpy. Żołnierz siedzący z tyłu trzymał się za przednie siedelko, a wolną ręką gładził piersi kobiety. Babsko, zniknęło od uderzeń i ukaszeń, o gołych plecach i ramionach, chichotała, śmiała się w dwóch językach i wygrażała drugiemu motocykliście.

— Nie potrafisz nawet stanąć na baczność, jak się należy — sztychł motocyklista i zsiadł z motoru.

Napolitano trzymał gitarę obok siebie i spoglądał na niego.

— To komunistka — krzychała kobieta, czując łapy tego drugiego między nogami.

— To jest komunistka, Roberto! — Przyglądał mu się tylko, to się przekonasz, Carlo, ręce przy sobie... No, Roberto, daj mi czerwona mordę!

— Polkaż ci, jak się pozdrawia czarne koszuły — zaszytał Roberto, dygotał z wściekłości.

Augusto Napolitano przestał już rozumieć, o co chodzi.

Barczysty Roberto smagał go pejem przez twarz, ale Napolitano stał jak drzewo, tylko bezmyślny uśmiech pokrył jego

wargi. Para przyglądała się, jak Roberto powtórzył uderzenie. Augusto Napolitano zachwiał się, ale natychmiast odzyskał równowagę. Krew ciekła z czoła i z policzków. Zwiły policzki i obserwował Carla, który runął na kobietę.

— Jesteś pewnie rzeczywiście czerwony, bo nie masz ochoty mnie pozdrowić.

Augusto rozglądał się beznadziejnie wokół. Potem spadł na niego raz i ból krzyczał w jego piersiach. Odnowiły się i zaczęły palić stare rany i blizny, lecz tak jak dawniej, kiedy go bito, pozostał niemy, nie prosił o łaskę.

— Umiesz chyba tylko śpiewać, ty... Roberto odmierzył mu nowy cios.

— Tak — wargi Augusta poruszyły się automatycznie, w ustach miał pełno krwi i wybite zęby. — Tak jest — Teraz poczuł ból.

— To śpiewaj! — warknął wściekły Roberto i przesunął hełm na tył głowy.

Augusto Napolitano milczał. Zobaczył przez welon krwi, jak ciemny, masywny Roberto rozkręcał się przed nim i wywijał groźną pejem w powietrzu. Nie czuł już strachu ani lęku przed bólem.

— Śpiewaj, ty psie! — rozkazał Roberto i kopnął go w udo. Napolitano osunął się z jękiem na kolana.

— Tylko tak dalek, Roberto — podlegała kobieta — tylko tak, Roberto caro, widział go, to komunistka, nie chce śpiewać.

— Śpiewaj, ty czerwona świni! — ryczał Roberto.

Carlo rozciągnął się na przyczepce, wargami szukał brodawek nagiej kobiety. — Dalej tak, Roberto — pieniała się z wściekłości kobieta, pożądamy jednocześnie Carla.

Splątana z sobą para na przyczepce doprowadziła Roberto do szaleństwa; podniecony krwią Augusta, która spłamiła nie tylko pejem, ale i jego czarną koszulę, młaskając językiem i całym ciężarem obcasu nadeptał na żołnierza. Jakby trafiony oliwem Napolitano upadł na kolana. To był najśmielszy cios, jaki kiedykolwiek otrzymał.

— Och, Carlo — jęczała kobieta. — Och, ty głupi, mój Carlo. Och, amore mio... och, mój złoty, nikt, nikt tak jak ty...

— A Roberto?

— Roberto jest naszym dzieckiem — bełkotała. — Nasz biedny synek. Och ty, włoski diable. Och, mój toż za złotym różkami... Och, Carlo, zabij mnie i wrzuc do rzeki rybom...

Uderzenie pięścią trafiło Augusta i powalilo go ostatecznie na ziemię.

— Nie znasz więc naszych pieśni, komunistyczny szubrawcze! Albo nie chcesz ich znać. Hej, ty...

Augusto Napolitano leżał bez ruchu z wyciągniętymi ramionami i nogami. Nie widział Roberto, ale chciał mu powiedzieć, że zna wszystkie pieśni, wszystkie pieśni, które dotąd śpiewali ludzie. Miał unieruchomiony język, wysuszone szczęki.

Głosy Carla i kobiety, dochodzące z przyczepki, wisiły się w jego ciemieniu, słyszał, jak beznadziejnie wzywała Boga o pomoc.

Roberto postawił nogę na zyl.

Zabije cię, jeśli nie zaśpiewasz Duce, Duce, nomen benedictum! Ja cię zaduszę, ty czerwony psie! Zrozumiałeś? Powiedz coś wreszcie! Albo śpiewaj!

— Nie mogę — wykrztusiły wargi Augusta. — Mogę tylko śpiewać moje pieśni.

— Komunistyczna świni! — wściekała się dziewczka. — My znamy ich pieśni. Zastrzel go, Roberto! Proszę cię, Roberto, zrób to. Och, Carlo mio, och, mój zwariowany to. Skończ z nim, Roberto, potem przyjdiesz tu! — Roberto wskoczył na brzuch i na piersi.

— Chcesz być śpiewakiem, w porządku, zaśpiewaj nam coś. My już zobaczymy, jakie to znasz pieśni! Wstawaj, nie udawaj, że cię coś boli. Człowieku, rób coś! Otwórz pyski! Jeśli nawet to ich pieśni... No, rusz się, soldat!

Augusto zwił się z bólu i szepnął z zamkniętymi oczami: Se te la rompa...

— Od razu wyczułam, że to komunistka — oburzała się dziewczka.

Tylko ci nie mają wstydu. Co, już skończyłeś, Carlo? Ach, ty włoski obwisia... ech. Teraz na ciebie kolej, Roberto, stary przyjacielu... ale przedtem zamień jego mózg w gówno...

Roberto odwrócił się. Kobieta z obnażoną piersią i podwinętą spódniczką sie-

tała — polamała ci ręce, nogi, stawy, żeby wtłoczył do gardła, a miał przy tym łagodne migdałowe oczy.

Jak to dobrze, że im nie uległeś, szepnęła i zeszła, jak krew spływała mu po skroni. Nie, nigdy nie mógłbyś zaśpiewać Duce, Duce, fiore nostro bianco. Nie słyszało się już jego szepotu, rzezi. Gdyby do tego doszło, że musiałbyś wymówić jego imię, to zmienilibyśmy zakończenie i wszystkim kazali śpiewać: Duce, Duce, fiore nostro nero.

Gołacy sen i odczuła ciemność spuściła się na jego powieki i męczyły go. Tylko swoje własne pieśni, powiedział do siebie, mogą być nawet brzydkie i nospolite. Żołnierz, złożony teraz uroczyście przyrzeczenie, że nigdy, gdybyś miał nasze usta w piosence imię naszego lub jakiegokolwiek wodza. Daj mi słowo, że od teraz będziesz nienawidził sytych, nadętych głupców, oszustów i oprawców; ta zgrana lajdaków ciemność nas, biedaków i zmusza, aby głosić i czcić ich sławę po całym świecie.

Wyciągnął rękę po omacku szukając gi-



działa znowu w przyczepce. Odrzuciła w tył głowę, popiła trochę z manierki i wdrygnęła się. Carlo wskoczył na motocykl i spoglądał w stronę Augusta.

— Wystarczy ci, komunisto? — spytał Roberto i nałożył hełm.

— Nienawidzę — powiedział Augusto. — Nienawidzę.

Roberto zapuścił motor. Pasterze i bydlęta rozprzeczili się wokół. I zanim Napolitano odemknął oczy, czy zdolał coś powiedzieć, człowiek w czarnej solamonej koszuły włazał gaz. Zdawało mu się, że Augusto mruknął raz jeszcze o nienawidzi. Skierował maszynę jednym sussem wprost na niego.

Przyczepa zakotyła się, kobieta nie opuściła butelki. Roberto nawrócił na zgrzytających hamulcach i ponownie przejechał Augusta. Już się nie poruszył. Carlo spoliczkował kobietę. Najbardziej zasraną rodziła broń to piechota, wykrzyknął. Roberto odwrócił, artyleria nie jest wcale lepsza. Kobieta dorzuciła, że ostatnio wielu żołnierzy, którzy za dużo piła, ucieka w góry. Roberto wydzierał się, trzeba obchodzić się z tym, że komunistami i opony raz jeszcze przedarły się przez głowę i brzuch Augusta. Kobieta zapiszczała. Przy zderzeniu podskoczyła do przodu, aż zakleszczały wszystkie kości w jej ciele. Potem motocykl zniknął tak jak się pojawił. Augusto Napolitano został sam.

Zdawało mu się, że sa jeszcze nad nim. Usiłował rozewrzeć powieki. Ale krew i brud zamuliły oczodoły. Dziwne, szep-

tary, a ból rozszerzył się w ramionach jak ogień; nie zdawał sobie sprawy, że wszystko zostało zmiażdżone żołnierskimi butami i że struny zwinęły się wezwem w kurzu drogi. Przypominał sobie polyskujące szczyty i śnieg.

Nie było już gór, zagasała błękitna esza. Czuli, jak zapada się w ziemię, jak lodowacieja mu palce rak i nóg, zmierzając idący od gór kładł mu się na piersiach. Coraz słabiej uderzało serce, zaciskało się gardło, chciał krzyknąć. Nagle usłyszał, że ktoś śpiewa jego pieśni i i pragnął zapłakać. Kim jest ten człowiek z oszronioną motocyklową wokół szyi? Pietro rzucił opone w ogień lub w rzekę — podał mu ręce. Och, bracia. Och, mój ukochany Pietro, wybacz, że nie chciałem zaśpiewać wtedy tej pieśni. Nie dopuść, żeby mnie służyły fale rzeki i pożarły ryby. Ocho, mój kochany, zasnę mi cokolwiek — moje twoja piosenka pozwoli mi zamknąć oczy.

PRZEKŁAD: STANISŁAW KASZYŃSKI

Powyższy fragment pochodzi z najnowszej powieści tego pisarza pt. „Bohater na szlaku” (wyd. 1964 r.), która ukazała się w odcinkach w belgradzkim miesięczniku „Savremeni” w 1964 r. M.B. należy do najwybitniejszych współczesnych powieściopisarzy jugosłowiańskich, znanych szeroko granicami swego kraju, także w Polsce, o jego interesowaniu cytowaną powieścią świadczy to, że w bież. roku ukaza się przekład w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku, Buenos Aires, Ameryce Łacińskiej i Monachium.

STANISŁAW BRUCZ

## Obietnice Melpomeny na sezon 1965-66

Mamy już przed sobą ostatecznie sprezywane plany repertuarowe trzech łódzkich teatrów (Jaracza, Nowego i Powszechnego) na sezon bieżący. Teatr czwarty — 7-15 — jest jeszcze w trakcie przechodzenia pod dyktando Teatru im. Jaracza i dlatego plan swój przedstawi nieco później.

Na wstępie sorobujemy rozpatrzyć trzy przedłożone plany łącznie, jako jeden generalny plan Łódzi Teatralnej. Możemy to zrobić tym śmiało, że przecież owe trzy teatry dramatyczne nie bardzo się między sobą różnią — ani pod względem tendencji programowej, ani pod względem osobowości artystycznej, ani pod względem estetyki warsztatowej. Ich plany są przebiegające, czyli że plan jednego teatru mógłby równie dobrze być planem obu pozostałych. I odwrotnie.

Tak więc plan generalny proponuje nam 38 pozycji, włączając w tę liczbę tak zwaną rezerwę. Biorąc zatem pod uwagę 38 zaplanowanych sztuk, zastosujemy na razie podział najprostsz: na sztuki polskie i obce. W rubryce polskich znajdziemy 15 sztuk, w rubryce obcych — 23 sztuki. Czyli że sztuki polskie stanowią prawie dokładnie 40 proc. liczby globalnej. Proporcja ta nie jest wcale zła; jeśli nie jest jeszcze świetna, to przecież w obecnej sytuacji jest normalna. Następny podział, również prosty, to podział na klasykę w najszerszym sensie słowa i dramaturgię współczesną. O-tóż w rubryce pierwszej znajdziemy 11 pozycji, w drugiej — 27 pozycji, czyli że klasyka stanowi 30 proc. liczby globalnej. Ta proporcja — ilościowo rzecz biorąc — nie tylko nie jest zła, ale jest wręcz chwalebna. Jeśli podzielimy klasykę na polską i obcą, to stwierdzimy, że w rubryce pierwszej figurują 3 pozycje, w drugiej — 8 pozycji. Ta proporcja jest już o wiele mniej chwalebna. Natomiast w zakresie dramaturgii współczesnej znajdziemy stosunek sztuk polskich i obcych jest bardzo pomyślny, wykazując postronnie polskiej 12 pozycji, postronie zagranicznej — 15 pozycji. Ogólnie mówiąc, w liczbie 12 polskich sztuk współczesnych znajduje odbicie zwrot, jaki w ciągu minionych dwóch lat dokonał się w naszej literaturze dramatycznej.

Na posiedzeniach komisji repertuarowej WK, poświęconych wstępnej analizie planu, padał nieraz pod jego adresem zarzut eklektyzmu. Zarzut banalny i, moim zdaniem, nieistotny. Eklektyzm był zawsze, jest i prawdopodobnie długo jeszcze będzie nieodłącznym i naturalnym atrybutem działalności wszelkiego teatru. Repertuar nie może i nie powinien być programowym monolitem, choć by dlatego, że i widowiska teatralna nie jest monolitem. Zdrowy teatr powinien zaspokajać różne wymagania, oczywiście nie schlebając najlichszym i wyprzedzając najbardziej wybredne. Eklektyzm rozsądny — to krótko mówiąc dużo sztuk różnych i dobrych.

Poza tym eklektyzm może być pozorny. To, co w teorii, jaka jest przecież wyidealizowany plan repertuarowy, wydaje się nam eklektyczną zbieralnią, może w praktyce, to znaczy w konkretnej realizacji scenicznej, okazać się oparte na konsekwentnie stosowanej metodzie lub na świadomie obranej myśli przewodniej. Ta metoda może być jednolita zasada interpretacyjna, odśladająca głębokie powinowactwa sztuk na pozór całkowicie sobie obcych. Owa myśl przewodnia może być postulat przekazania świadomości widza jakiejś nowej możliwości czy umiejętności poznawczej. I wreszcie, nie mniej konsekwentną metodą może być wola wysnuwania z każdej poszczególniej sztuki jedynie jej właściwej techniki inscenizacyjnej.

Jednakże, zapuściliśmy się przedwcześnie na terytorium sceny, w regiony przyszłej realizacji praktycznej, co nie mieści się w ramach mojego zadania. Moim zadaniem jest, z dala od wszelkich antycypacji i przepowiedni zbadać już istniejący na papierze plan repertuarowy jako zestaw utworów literackich, to znaczy przyjrzyć się im z punktu widzenia ich merytorycznej treści. Otóż z tego stanowiska powinniśmy zanalizować każdy plan z osobna, zatrzymując się na jego pozycjach kluczowych. W tym względzie plan Teatru im. Jaracza pierwszy zwraca na siebie uwagę stosunkowo wysokim stopniem nasycenia energią polityczną. Figurują tu na pierwszych miejscach dwie przeróbki: „Kolumbowie” Bratnego i Hanuszkiewicza i „10 dni, które wstrząsnęły światem” Johna Reeda w adaptacji Szydlowskiego i Fröhlinga. Dramat pokolenia Kolumbów, które w r. 1939 miało 19 lat i które w ciągu minionego ćwierćwiecza przeżyło burzliwe i skomplikowane dzieje w drodze ku Polsce Ludowej, stanowi jeden z nie najmniej ważnych rozdziałów naszej rewolucji. Rozdział niepełny jest jeszcze historyczny, gdyż pokolenie Kolumbów ma dzisiaj 45 lat, jest zatem w sile wieku i czynnie współtworzy naszą teraźniejszość. Inszenizacja Hanuszkiewicza była w ubiegłym roku wielkim sukcesem Warszawy teatralnej i dlatego nie widzę nic złego w tym, by Teatr im. Jaracza przeniósł ją w sta-

nie gotowy na swoją scenę. Relacja Johna Reeda pozostaje po dziś dzień najlepszym i ciągle świeżym raportem o przebiegu Rewolucji Październikowej. Pokazanie go publiczności łódzkiej w polskiej wersji dramatycznej wydaje się wysoce wskazane, zwłaszcza w okresie obchodów 50-lecia Rewolucji. Wybitnie polityczne są również dwie sasiadujące ze sobą sztuki: „Czarownice z Salem” Millera i „Namiestnik” Hochhuta. Obie są bowiem wymierzone — każda na swój sposób — w ciągłe żywotną groźbę totalizmu: „Czarownice z Salem” w okresie swego powstawania godziły w brutalny totalizm Mac-Carthyizmu, „Namiestnik” godzi w obłudny totalizm Watykanu, który za pontyfikatu Piusa XII był wiernym sojusznikiem totalizmu hitlerowskiego.

„Kaukaskie koło kredowe” jest jedną z najlepszych sztuk Brechta, jedyną, której akcja rozgrywa się w Związku Radzieckim. Jest dziełem wielkiej rozpiętości ideowej, usiłuje bowiem konkretny problem historyczno-społeczny wnieść na płaszczyznę moralności ogólnoludzkiej. Ponadto „Kaukaskie koło kredowe” dzieło swej stylizacji przypowieści ludowej zdaje się szczególnie odpowiedni dla mentalności łódzkiej widza.

By wszystkim gustom stało się zadość, Teatr im. Jaracza proponuje „Kto się boi Wiergini Woolf”, modna sztuka modnego autora, melanz Strindberga i Grand Guigno-



# Pamiętniki Putramenta

Wszystko, co pisze Jerzy Putrament, czyta się z zainteresowaniem, choćby się człowiek z nim nie zgadzał. Nie wiem, czy to jest siła talentu, czy osobowości, czy też jedno i drugie razem wzięte. Putrament nie bawi się w literaturę, pisze on prosto i z wyjątkowością, co na tle krytyki jest nader rzadką właściwością. Jest przy tym ogromnie bezpośredni, powiem więcej: beceremonialny. I jest ciekawy: pisze z humorem, a to w dołroczystej racji tradycji literatury polskiej ma wysoka cenę. Humorem i bezpośredniością zjednywa sobie Putrament nie tylko czytelnika, swoich prac literackich, również słuchacza swoich wykładów i wykładów. Byłem na jednym z takich wykładów. Putrament zagalił własne wystąpienie następująco: „Może mi najpierw powiecie, co was interesuje. Znam się na wszystkim, z wyjątkiem techniki i rolnictwa. Proszę, wybierając temat, jestem do waszej dyspozycji”. Na sali siedzieli sami żołnierze — karni i zdyscyplinowani. Zdałoby się, że nikt nie pisze ani słowa. Albo ktoś z tylnych rzędów podniósł się wyrecytował jak z nut: „To może by nam obywateli przelęgł opowiedział coś o Francji”. A na to Putrament: „Bardzo chętnie. Byłem tam ambasadorem przez kilka lat. Jeśli nim nie jestem, to chyba dlatego, że istniała groźba, iż doprowadzę do wojny francusko-polskiej, a tego należało jednak za wszelką cenę uniknąć”. Sala w śmiech, pierwsze lody przełamane, dalej toczy się już wszystko w atmosferze dużej bezpośredniości.

Anegdota o służbie dyplomatycznej Putramenta nie powalała się tutaj przypadkowo. Oto ukazał się trzeci tom jego pamiętników pod wspólnym tytułem „Pół wieku”, poświęcony pobytowi autora za granicą, najpierw w Bernie szwajcarskim (pościel pełnomocny), później w Paryżu (ambasador), a w tym, między innymi, w Grecji, gdzie przebywał na charakterze szefa delegacji polskiej przy Komisji Rady Bezpieczeństwa, która miała zbadać, czy Albania, Bułgaria i Jugosławia istotnie pomagają powstańcom generała Markosa. Ciekawe tereny obserwacji w powojennej Europie. Przypomnijmy, dla porządku, że tom pierwszy „Pół wieku” obejmował młodość autora, spędzoną w Wilnie i okolicy, a drugi — lata wojny w ZSRR.

Choćby obecny, zastrzeżony tom wspomnień czytelnik już uprzednio w odcinkach „Życia Warszawy”, do powtórnego czytania przystąpił z przyjemnością. Wersja książkowa jest uzupełniona i przepracowana, nadto — redakcja „Życia Warszawy” materiał ten prezentowany drukowała tylko w części, wreszcie książka wzbogaca ilustracje, co przy publikacjach tego rodzaju jest szczególnie cenne. Słowem:

użytkowej „nowoczesności”; „Iawazja jaszczurów” Karola Capka, przebrzmiała utopia, która nie wiem czy należy przypominąć dzisiaj, kiedy w Czechostowacji ukazują się od pewnego czasu sztuki, jak się słychać, bojowo aktualne i dobrze napisane. Dwie wielkie pozycje klasyczne figurują w planie Teatru Nowego: „Faust” i „Makbet”. Są to główne podopory repertuaru Dużej Sceny, jako że umieszczono między nimi „Dożywocie” Fredy i „Kupiec” Plauta są chyba przeznaczane dla młodzieży licealnej, tak jak bajka o Ali-Babie Słopiowskiego jest przeznaczona dla dzieci. Jednakże i „Faust” i „Makbet” nastrojąca wiele pytań natury zasadniczej. Jeśli chodzi o „Fausta”, pierw sze pytanie dotyczy nie tego, jak Teatr zamierza go wystawić, lecz tego, co zamierza z niego zrobić. Albowiem dzieło Goethego jest, podobnie jak „Dziady”, ogromną partyturą, z której można wyodrębnić wiele samodzielnych konstrukcji, w zależności od tego, co za pośrednictwem „Fausta” chce się powiedzieć danej społeczności w danym czasie. „Faust” jest wielkim traktatem moralno-filozoficznym, indagacją metafizyczną, biblią humanizmu, summa kultury europejskiej od Homera do romantyków i zapowiedzią całej problematyki naszego stulecia. Drugie więc pytanie brzmi: czy reżyser może po prostu na wydobyciu z „Fausta” jakiejś konstrukcji

lektura pasjonująca i godna uwagi. Niektórzy krytycy twierdzą, że „Pół wieku” stanowi najwybitniejszą osiągnięcie pisarskie Putramenta. Skłonny byłbym przyznać im rację pod warunkiem, że trzeba by dolażyć do tego kilka nowel z tomu „Święta kula”, które jak np. „Wielkanoc” są małymi arcydziełami prozy polskiej. Po zostawmy jednak weryfikację ocen dzisiejszych czasom późniejszym, a zajmijmy się, zagranicznymi wspomnieniami Putramenta, obejmującymi pierwsze pięćdziesiąt lat powojenne (1945—1950). Choćby fascynacja Francją a osobliwie Paryżem jest u nas ogromna, dla mnie osobliwie nie paryskie wspomnienia Putramenta są najciekawsze. Pod wieloma względami okres bernijski wydaje się i bardziej interesujący i może nawet donioślejszy. Jerzy Putrament był pierwszym posłem pełnomocnym nowej Polski w Szwajcarii. Obejmował szereg po przedstawicieli rządu londyńskiego czyli niejako zaczął od nowa. Toż opis jego kontaktów, zabiegów, starań i konfliktów daje smak tamtych lat, pełnych chaosu, dobrej woli i nieporozumień. Były to kontakty i spotkania zarówno z rządem szwajcarskim, jak i z przedstawicielami innych ambasad, zarówno z prasą jak i tamtejszą Polonią. U posła pełnomocnego zjawiali się ludzie rzetelni i dżiawcy, politycy i handlowcy, przyjaciele Polski i jej dawni lub skryci wrogowie. Putrament umiał to wszystko przedstawić zwięźle a przy tym barwnie i konkretnie. Putrament zdaje się hołdować radzie pewnego

krytyka francuskiego: jeśli chcesz napisać, że pada deszcz, najlepiej zrobisz, pisząc — pada deszcz. Ale w tych partiach, w których autor zajmuję się opisem krajobrazu — staje się mniej interesujący. Nie dlatego, żeby to robił źle. Po prostu dlatego, że interesują nas nie najpiękniejsze nawet pejzaże, lecz ludzie i ich sprawy. O nich chcemy wiedzieć, jak najwięcej. I nieraz się zdarza, że omijamy opisy wyglądu miast, gór w czasie pogody czy lasu, pod nawisłymi chmurami a szukamy sprawozdań ze spotkań i rozmów z ludźmi, bo w tym nowym powojennym świecie (jak chyba w każdym świecie) ludzie są najważniejsi.

Powiedziałem już wcześniej, że Putrament pisze bardzo bezpośrednio, ba! wprost beceremonialnie. Oto przykład pierwszy z brzegu: „Wpadłem do Orlimanna, który mnie przyjął w sposób wręcz obelżywy. Trzasnąłem drzwiami i nie zwróciłem się do niego aż do jego tragicznej śmierci”. Albo taki pasus: „Norton podejmował koleżanek samego Montgomery'ego. Ludzi zaproszono niewiele, u wieścia pełno szpicli. Stół tam także attache wojskowy. Fryer (czytał: Frajer!), o budi specjalnie stworzonej do tego procedury, i mimo, że nas doskonale zna, pyta o nazwisko”. Putramentowi udało się w swych pamiętnikach uchwycić obraz zmieniającego się do wojny świata w sposób plastyczny, niekiedy wręcz zaskakujący. Świadczy to również o doborze o jego zmyśle obserwacyjnym co i o umiejętnościach pisarskich. Kto zaś zna autora osobiście, musi stwierdzić, że w „Pół wieku” narzucił on wyrazistym portret własny. W końcu dzieło jest tak z każdym utworem literackim: pisarz mówił o innych, mówi także o sobie przede wszystkim o sobie samym.

Jan Kłopotowski

## SPEKTAKLE tygodnia

| FILM        |                         |             |               |      |
|-------------|-------------------------|-------------|---------------|------|
| WŁÓKNIARZ   | „Popioły”               | 43 seanse   | 21 347 widzów | 90%  |
| POLONIA     | „Tom Jones”             | 35 seansów  | 9 601         | 40%  |
| TEATR       |                         |             |               |      |
| Nowy        | „Bliźniaki z Wenecji”   | 4 spektakle | 2 100 widzów  | 65%  |
| Mała Sala   | „Lato w Nohant”         | 4           | 800           | 100% |
|             | „Indyk”                 | 1           | 200           | 100% |
| Powszechny  | „Dziady”                | 3 spektakle | 660 widzów    | 100% |
|             | „Dom otwarty”           | 2           | 550           | 85%  |
| Jaracza     | „Kaligula”              | 2 spektakle | 950 widzów    | 71%  |
| Opera       | „Bal maskowy”           | 1 spektakl  | 300 widzów    | 41%  |
|             | „Fra diavolo”           | 1 spektakl  | 570 widzów    | 100% |
| Operetka    | „Ptasznik z Tyrolu”     | 7 spektakli | 7 067 widzów  | 100% |
| 7,15        | „Samobójstwo doskonałe” | 2 spektakle | 500 widzów    | 60%  |
|             | „Latające dziewczęta”   | 4 spektakle | 1 200 widzów  | 70%  |
| Filharmonia | 2 koncerty symfoniczne  |             | 852 słuchaczy | 60%  |

Jerzy PORADECKI

## OWOC z grynszpanem

Powieść eksperymentalna, która dawno już przeżyła swój burzliwy okres rozwoju, wkracza w stadium pełnej samoświadomości, w stadium dojrzałości, w której wszystkie jej elementy przestają już być poszukiwaniem, a stają się świadomym środkiem wyrazu. „Owoc z grynszpanem” wykorzystuje wielość zdobytych powieści XX wieku. Główną rolę w kształtowaniu treści książki odgrywa jej konstrukcja.

Autor ciągle znacząco swoją obecność, ciągle podkreśla element własnej ingerencji w kształtowanie losów bohatera. Nie jest jednak demurkiem. Przeciwnie, zależy mu na jak najwierniejszym odwzorowaniu losów bohatera. Tu jednak pierwsza porażka poszukiwacza prawdy. Nie można od stworzyć losów bohatera, można je tylko przedstawić w sposób prawdopodobny. Zadaniem autora jest stworzyć z posadanych fragmentów, wspomnień i dokumentów pełną wizję życia bohatera. Narrator nie wymyśla nic, nie usiłuje niczym od siebie wzbogacić skąpej wiedzy o Stanisławie Zegzdzie. Jeżeli odważy się cokolwiek choćby tylko zinterpretować, natychmiast powiadamia o tym czytelnika. Powstaje w ten sposób historia, która jest pełną wizją losów Stanisława Zegzdy tylko wtedy, gdy nie odziedziczy od „faktów” interpretacji narratora.

Trzeba tutaj dokonać umownego podziału. Do samej powieści dołączony jest aneks, Narrator z Aneksu nie jest tym samym narratorem, co opowiadający dzieło Stanisława Zegzdy w samej powieści. Prowizorycznie będę nazywał tego pierwszego pisarzem, drugiego natomiast po prostu narratorem.

Otóż Gomolicki w powieści pokazał nam dystans między twórcą a materiałem, z którego on czerpie. Narrator przedstawił nam pełną wizję życia swojego bohatera. Pozostawił jednak czytelnikowi możliwość interpretacji przed-

stawianych faktów w dowolny sposób — chodził mi o ciągłe zastrzeżenia w rodzaju: Tego nie jestem pewien, prawdopodobnie wyglądało to tak: — Nie jestem pewien znaczenia tego faktu, może trzeba go zinterpretować inaczej. Wolność pozostawiona czytelnikowi przez narratora jest jednak złudna. Każda inna interpretacja byłaby twórczym nowym powieści. Jest więc „Owoc z grynszpanem” powieścią o pisaniu powieści.

Do powieści „właściwej” dołączony jest Aneks. Tego rodzaju uzupełnienia, znane są nam już z lektury choćby „Falszery” Gide'a lub z lektury Mannowskiej powieści o powieści. Tamte były mniej lub bardziej znaczącymi uzupełnieniami, które w bardzo niewielkim stopniu wpłynęły na samo dzieło. Aneks do „Owocu z grynszpanem” decydująco zmienia kształt i znaczenie powieści.



Leon Gomolicki w karykaturze Ibis-Gratkowskiego

Z Aneksu wyraźnie można się zorientować, że pisarz mógł ten sam materiał, na którym oparł swoją powieść, „ustawić” inaczej. Możliwość było kilka.

Dzieli wyeksponowaniu motywu Likaonidów główną problematyką przesunął by się w stronę moralności, może nawet nieco umiastycznionej. „W obu wypadkach (Likaona i Abrahama — dop. M.J.P.) bóstwo odrzucające ofiarę z ludzi, bohater częstujący taką ofiarą bóstwo czy gotowy to uczynić: próba o wyższej mierze moralnej — odwrócona, bo tu człowiek wypróbowujący bóstwo, tam bóstwo wypróbowujące człowieka. Myślę o scenie, gdy Abraham daje Izakowi wiązkę drzewa, a sam idzie za nim, niosąc pochodnię i nóż ofiarny.”

Ten sam motyw Likaona może zyskać jeszcze inne zna-

czenie. „I cały czas zamiast Likaon słyszałem: Likaon i widziałem likaonidów, szczerze przez naganiny z trupa czaszka na czole. To stało się już obsesją mego pokolenia.” Można więc było prowadzić paralele między ostatnią wojną a powstaniem styczeńowym i zająć się sytuacją moralną człowieka w warunkach prowadzących do zagłady pewnej społeczności i kraju.

W Aneksie pojawia się również motyw grzechu i w związku z tym przekształca się z tego na całej rodzinie. Wojciech Zegzda brał udział w powstaniu styczeńowym. Po nieudanym ataku na rosyjską placówkę popełnił samobójstwo. Mniejsza o ocenę znaczenia samego faktu. Pisarz rozważa taką możliwość interpretacji losów bohatera powieści. Równie intrygująca jest historia Agatki, drugiej żony Stanisława Zegzdy. Jej losy nie są wyjaśnione do końca. Rola, jaką spełniła w życiu dziadka i jego rodziny intryguje pisarza na stronach Aneksu niejednokrotnie. Interpretacja postaci i w związku z tym konstrukcja powieści mogła pójść i w kierunku wyjaśnienia tej tajemnicy.

Mniej więcej w ten sposób przedstawiałyby się możliwości interpretacji losów głównego bohatera i konstrukcji powieści. Celowo nie interpretuję samej powieści. Aneks zaprzecza sensowności tego typu analizy. Stwarza on kilka możliwości, wśród których czytelnik sam musi wybrać tę, która będzie mu najbardziej odpowiadała. W tej chwili już nie dziwi powściągliwość narratora, jego ciągłe zastrzeżenia dotyczące wyjaśniania życia bohatera. Narrator nie chce niczego narzucać. Sam mówi szczerze o tym, co wydało mu się godne uwagi, ale zbyt dobrze zdaje sobie sprawę, że to jest jego widzenie. Czytelnik ma prawo widzieć inaczej.

Całość, postawa narratora i pisarza, ma jednak jeszcze inne znaczenie. Wracamy znów do powieści o powieści, do powieści warsztatowej. Świadomość, że powieść jest autorską interpretacją świata, stawia pisarza przed dylematem: albo przekazać czytelnikowi moje widzenie świata, które może być jednym z wielu, czasem wręcz fałszywym, albo zrezygnuje z interpretowania i przekazać same tylko materiały. Które przecież bez interpretacji nie mają właściwie żadnej wartości. Na tej płaszczyźnie Gomolicki toczy boje o swoją twórczość, o postawę pisarza wobec rzeczywistości, wobec czytelnika.

Leon Gomolicki: Owoc z grynszpanem. Wydawnictwo Łódzkie 1965 cena zł. 10,—

fabularnej, pomijając jego istotne struktury ideowe? I wreszcie trzecie pytanie: dla kogo wystawia się „Faust”? Bo jeśli potraktować dzieło Goethego z należytą mu powagą, to trzeba się z góry nastawić na wąską elitę kulturalną i zaledwie kilka przedstawicieli. A jeśli chce się zmontować spektakl popularny, dostępny szerokim kręgiem i młodzieży szkolnej, to wtedy powstaje niebezpieczeństwo scenki rodzajowej, sentymentalnej opowieści o amorach przyrostu studenta i Małgosi, burzowskiej zabawy w pływki Auerbacha.

Co do „Makbeta”, to można by do tej sztuki odnieść to, co zostało powiedziane w związku z „Królem Learem”. Szekspir jest zawsze pożądanym na naszych scenach i mowy być nie może o tym, by nie pochwalił decyzji Teatru Nowego. „Makbet” jest na pewno jednym z arcydzieł Szekspira, jest bodaj najświetniejszym z dramatów królewskich, ale jest także najbardziej pesymistyczną tragedią Szekspira, powstającą w najciemniejszym okresie jego życia. Osobliwy stop historyzacji i metafizyki, „Makbet” ukazuje historię jako koszmarny, z którego nie ma przebudzenia, koszmarny złożony z nieprzerwanych morderstw. Historia w „Makbecie” — powiada Jan Kott — sprowadza się do jednego podziału: na tych, co zabijają, i tych, co są zabijani. Morderstwo jest narzędziem zdobywania władzy i sposobem

utwierdzania się przy władzy. Morderstwo jest koniecznością historyczną, bo jeśli można zabijać, to trzeba zabijać. Morderstwo jest jedyną prawidłową reakcją na historię. Słowa „krwawość” i „krwawość” to słowa-klucze „Makbeta”. Kott powiada: bez obrazu świata zalanego krwią teatralna inscenizacja „Makbeta” będzie zawsze fałszywa. Dodałbym: i bez panowania nocy, bo w „Makbecie” nie ma w ogóle światła dziennego.

Cytowałem Jana Kotta. Oczywiście, kierownictwo Teatru może odrzucić Kotta, może zupełnie inaczej odczytać „Makbeta”, ale — po przeczytaniu „Sztuk o Szekspirze”. W repertuarze Małej Sali figuruje sześć sztuk. Zespół ten charakteryzuje się tym, co można by nazwać odrabianiem zaległości, bo przecież dwie jednoaktówki Ionesco, trzy jednoaktówki Mrożka i „Kartoteka” Różewicza mają już za sobą wieloletnią karierę sceniczną. Niemniej pokazanie ich w Łodzi może być pożyteczne jako wypełnienie luki. Jedyną pozycją nową w tym zespole jest sztuka Janusza Krasickiego „Za nasze winy i wasze”, dramat wzięty z bardzo interesującej, choć utrzymany w stylu czarnej literatury egzystencjalizmu lat czterdziestych.

Plan Teatru Powszechnego cechuje jaskrawa różnorodność. Figurują tu trzy sztuki przynależne do gatunku „klasycznych”: „Dom otwarty”

Bałuciego, „Pies ogrodnika” Lope de Vegi i „Szkoda tej rozpustnicy” Johana Forda. Pozycje te łączą przyjemne z pożytecznym, można je bowiem uważać za rozrywkowe i jednocześnie przeznaczone dla młodzieży w ramach abonamentu szkolnych. Rzecz wybitnie i wyłącznie rozrywkowa jest sławna „My Fair Lady”, która nie wymaga komentarzy. Z dwu polskich sztuk współczesnych na uwagę zasługują przede wszystkim „Tango”, najlepsza rzecz Sławomira Mrożka i chyba najlepsza ze sztuk polskich, powstałych w ciągu ubiegłych dwóch lat. Ta tragifarsa o konflikcie pokoleń, jak i cała dramaturgia Mrożka, mieni się wielokrotną opozycją znaczeń. Z jednej strony zdaje się traktować konflikt pokoleń serio, z drugiej — ośmiesza go i demistyfikuje. Rzeczywisty wydaje się dramat pokolenia Arturów, ideologów, szermierzy zagrożonych wartości, głosicieli nowego ładu moralnego. Ale Artur mówi bzdury, przeczy sam sobie i zdradza zapędy dyktatorskie, a przy tym cały jego pryncypalny ferment służy za dymną zasłonę dla podrywania podłóg. Puente końcowa, zwycięstwo tepogłowych Edków, zawieszanie nad całą sztuką niepokojący znak zapytania. Czy jest to zwycięstwo rzeczowych i twardych Fortynbrasów nad hamietyzmem Arturów, jak chciałby Jan Kott? Chyba nie, bo 20-letni Edek ponad głowami Arturów i Stomilów podaje rękę 70-letniemu Euge-

niuszm, młodopolskim niedobitkom sprzed pierwszej wojny światowej. I razem, w najlepszej komitywie, zamykają sztukę, łącząc upiorne tango. Co dalej?

W rezerwie Teatru Powszechnego znajdujemy pięć pozycji. Są to: Brandstettera „Zmierzch demonów”, patetyczny dramat o tym, co dzieło się w podziemiach Kancelarii Rzeszy w przededniu klęski Niemiec; „Maskarda” Lermontowa lub „Pluskwa” Majakowskiego, sztuki reprezentujące klasyczne rosyjskie XIX i XX wieku, w reżyserii wybitnego artysty radzieckiego Akimowa; „Święta Joanna” Shawa; „Potop” Sienkiewicza, adaptacja dla najmłodszej widowni; sztuka Marka Domańskiego, będąca w toku i nie mająca jeszcze tytułu.

I wreszcie Scena Propozycji proponuje: „Dozorek” Harolda Pintera, sztukę w stylu beckettowskim, charakterystyczną dla angielskiej awangardy teatralnej, osnutą na modnych problemach — alienacji, homoseksualizmu i kryzysu obcowania międzykulturowego; „Nowego lokatora” i „Lukę w zyciorysie”, jednoaktowe sztuki Eugeniusza Ionesco.

Zanosz się więc na Łódź festivalu Ionesco. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby dobór jego utworów był bardziej wynalazczy. Bo w tym, co proponują Teatr Nowy i Powszechny, tylko „Lekcja” i w pewnej mierze „Nowy lokator” należą do świetnego okresu Ionesco, zaś „Lu-

ka w zyciorysie” i „Szaleństwo we dwoje” to bagatele bynajmniej nie charakteryzujące „antyteatralnej” przekory rumuńskiego Paryżanina. Wracając do rozważań ogólnych nad całością planu, nie od rzeczy będzie w konkluzji zaryzykować następujące wnioski, zresztą proste i oczywiste:

Brak wielkiej klasyki polskiej. Nie trzeba być zwolennikiem okolicznościowej celebry i „jubilatyzmu”, aby stwierdzić, że nieobecność w planie polskiej sztuki klasycznej jest współczesną, upamiętniającą 200 rocznicę Teatru Narodowego, jest brakiem dotkliwym.

Brak inwencji odkrywczej zarówno w zakresie repertuaru starego, jak i na dziedziach terenach młodej dramaturgii. Prawie wszystkie sztuki współczesne, figurujące w planie, wędrują już po teatrze wojewódzkich bądź w kształcie gotowych przedstawień, bądź też w kształcie pożytyczki zaplanowanych na sezon bieżący. Predylekcja do modnych sztuk modnych autorów, wypróbowanych już gdzie indziej.

Brak zainteresowania dla nowej dramaturgii radzieckiej i krajów demokracji ludowej, zwłaszcza Czechosłowacji i Węgier, gdzie w świecie teatru i literatury dramatycznej panuje znaczne ożywienie.

To rzekłszy, życząc teatrom łódzkim powodzenia w dziele realizacji planów bądź co bądź ciekawych i ambitnych.





Fot. K. Komorowski

## Ze Zbigniewem Kuźmińskim nie tylko o filmie

Zbigniew Kuźmiński należy do tej nierzadkiej garstki twórców filmowych, którzy jeszcze mieszczą i pracują w Łodzi. Niemniej swój kolejny film pt. **ZEJŚCIE DO PIEKŁA** według scenariusza I. Iredyńskiego będzie on realizował nie w Łodzi, lecz na Kubie, gdzie ostatnio przebywał gromadząc dokumentację. Akcja tego filmu toczy się będzie w dżungli wśród ukrywających się b. hitlerowców.

— Jakich przyczyn skłoniły Pana — pytam reżysera — do podjęcia tego tematu?

— Każdy z reżyserów szuka własnego czegoś wyjątkowego, czegoś takiego, co go poruszy, zafascynuje i co go przekona. Problem faszystów jest właśnie jednym z takich problemów, który jest w stanie poruszyć każdego człowieka pamiętającego minioną wojnę. Sądzę, że sprawa ta jeszcze długo będzie inspirować twórców. Ostatnio znalazł się tym zagadnieniem Ireneusz Iredyński, pisząc „Zejsście do piekła”.

Rzecz dotyczy grupy b. hitlerowców ukrywających się do dziś w dżungli jednego z krajów Ameryki Południowej. Hitlerowcy ci egzystują w znakomitych warunkach, zaskakująco dobrych, jak na otaczającą ich dżunglę. Mają

kontakt z całym światem faszystowskiego podziemia, śledzą pilnie aktualne wydarzenia, marzą o tym, aby świat zginął w wyniku zagłady atomowej, a oni przeżywszy zorganizowali na nim nowy, faszystowski ład. Te ich postawy zostają pewnego dnia skonfrontowane z postawami dwóch przedstawicieli zachodnich Niemiec, którzy przez przypadek trafiają do ich obozowiska. Następuje 24 godzinny sensacyjny prowadzony akcji, której przebiegu i epilożu ze zrozumiałych względów, pozwolił Pan, nie zdradzać.

— A więc jeszcze jeden temat wojenny?

— Nic podobnego. Rzecz dzieje się współcześnie, jak najbardziej dziś i z wojną ma tylko tyle wspólnego, ile będzie ona się przypominała w pewnych działaniach czy sformułowaniach bohaterów. To po pierwsze. A po drugie, nie uważam bynajmniej film wojenny za coś już zbędnego na naszych ekranach. Ludzie sztuki jeszcze długo będą szukali inspiracji do swoich dzieł w przeżyciach z wojny, w całej jej ogromnej grozie. Jednocześnie widzowie uczęszczają tłumnie na filmy wojenne dokumentujące tym samym swoją chęć a może nawet potrzebę oglądania obrazu wojny bardzo przecież często dla siebie nieznanego.

— O ile mi wiadomo „Zejsście do piekła” będzie realizowane w koprodukcji z NRD. Wynika z tego, że jest

Pan zwolennikiem koprodukcji, która sędząc z dotychczasowej praktyki, jest chyba czymś niepopularnym w naszej kinematografii?

— Jest faktem, że koprodukcję b. mało, 2 czy 3 koprodukcje w ciągu 20 lat to prawie nic. Nie rozumiem dlaczego tak się dzieje, wiem natomiast, że właśnie cały filmowy świat jest, że się tak wyrażę, rozpodróżowany. Rosjanie, Niemcy, Amerykanie, Francuzi, Włosi, Czesi, Japończycy — wszyscy starają się rozszerzać wachlarz tematyczny zagadnień filmowych wkraczając na nowe tematyczne obszary i jasne jest, że ta tendencja jest słuszną i dla widza niezmiennie korzystną. Widz przez ostatnie lata wykształcił się filmowo, stał się wymagający i wchodzić na salę kinową oczekuje, że mu się przedstawi jak najbardziej autentyczny wycinek rzeczywistości. Bo widz rozmawiany w filmie łatwo już rozróżnia wszelkie fałszy i umowności, a technika nieszczęśliwie nie jest jeszcze tak znakomita, żebyśmy mogli półśrodkami załatwić sprawę autentyzmu i w ten sposób tego widza w pewnym sensie „oszukać”.

Istnieje wiele zdań i opinii co do poziomu polskiej kinematografii. Ostatnio czytałem, że nasza kinematografia nie jest jeszcze nawet kinematografią profesjonalną, zawodową.

— Jest chyba trochę przesady w takim stwierdzeniu. Powiedziałbym raczej, że jest ostatnio mało ambitna. Pomimo to jednak, proszę mi pokazać kinematografię, która miałaby taki niewielki procent dzieł nieudanych, złych zdecydowanie i pod każdym względem, jak nasza. A potwierdza to znakomicie widzę, który coraz tłumnie (statystycznie dowiedzione) uczęszcza na polskie filmy i nawet na te, które nie miały zbyt dobrej prasy.

Szkoda tylko, że zmuszeni jesteśmy pracować w warunkach dość zaoferowanych pod względem technicznym, szkoda, gdyż wiadomo, że podstawa sztuki filmowej była, jest i będzie technika. Na zagadnienia techniczne polskiego filmu trzeba patrzeć b. surowo i krytycznie. Bez nieustannie uoświecania techniki, w pełni jest, aby film rozwijał się artystycznie prawidłowo.

— Jak Pan ocenia „małą stabilizację” naszego filmu?

— Traktuję ją jako jeden z kolejnych etapów, które musiały nieuchronnie nastąpić. Niełatwe są chyba w historii sztuki te wypadki, kiedy artysta tworzył za każdym razem arcydzieło, względnie pewną dyscyplinę sztuki zawsze bliskała jednakowym blaskiem. Po dachach światowych przychodzą dni zwykłe, przepłatane jednak świętami.

— Czy nie uważa Pan, że pełny rozkwit polskiego filmu hamuje brak dostatecznej ilości scenariuszy?

— Brak scenariuszy dawał się odczuwać w naszej kinematografii zawsze i nie wiem czy ta sytuacja zmieni się w najbliższej przyszłości lub kiedykolwiek. Rzadko się zdarza, aby reżyser miał szczęście realizować film w oparciu o pierwszy, proponowany scenariusz. Przeważnie jest to drugi, czasem trzeci. Niech Pan teraz przemówi sobie te wszystkie odrzucone i przyjęte scenariusze przez ilość polskich filmów fabularnych to otrzyma Pan 100-150 scenariuszy rocznie. To bardzo dużo. Jeśli teraz zdamy sobie sprawę jak niewielu literatów chce i filmem współpracować i faktycznie współpracuje, to trudności na tym polu staną się oczywiste. A więc osiągnięcie jakiegoś stanu idealnego, stanu, w którym każdy reżyser mógłby realizować już swój pierwszy scenariusz ewentualnie mógłby mieć do współpracy jednego lub dwóch literatów jest czymś nierealnym. Najlepiej byłoby gdyby reżyserzy sami pisali scenariusze do własnych filmów.

— Czy zechciałby Pan w sposób obiektywny wyjaśnić przyczyny zjawiska stałego odpływu twórców filmowych z Łodzi w kierunku Warszawy?

— My, reżyserzy ciąglemy przede wszystkim do środowiska literackiego, a takie jest największe w Warszawie. Może nastąpić jednak taka sytuacja, że goźdźmy się na częste nawet podróże do Warszawy, na niemieszkanie w Łodzi pod jednym warunkiem: troski, zyciowości i opieki władz danego miasta. Przy czym dla wyjaśnienia: nie uważam bynajmniej za decydującą i jedyną tę troskę, która objawia się np. przydzieleniem mieszkania. To niewątpliwie ważne — lecz równie ważne jest żeby twórca czuł, iż jego osoba jest przedmiotem jakiejś permanentnej uwagi ze strony powołanych do tego osób. Wreszcie nie miejsce tu na pocucie jak to powinno być mogłoby wyglądać. Przykłady są znane i są to przykłady niekoniecznie słabe, bo choćby Wrocławia lub Krakowa. W Łodzi przypuszczalnie zapomniano, że oprócz WFF jest tu przecież mala, a jeszcze tonięca grupa realizatorów filmowych.

— A propos. Czy Pan również wybiera się do Warszawy?

— Chyba nie wybiorę.

— A teraz takie pytanie: co się Panu w filmie polskim najbardziej nie podoba?

— Pan żartuje...

— Wobec tego co się Panu podoba?

— ?!

ROZMAWIAŁ:  
KAROL BADZIAK



## ZALOBA PRZYSTOI ELEKTRZE

Czy wiecie państwo, jacy telewidzowie należą do najbardziej denerwujących? Jacy potrafią człowiekowi odebrać chęć do oglądania czegośkolwiek? Zdarzało się słyszeć wieczorami w salce z telewizorem obok wybitnego reżysera filmowego, aktorów, wybitnego kompozytora, dziennikarzy i pisarzy. Na ogół głośno ze wszystkiego sztydził. Z jednej strony było to obowiązującym grymasem, z drugiej zaś znano mocia kulis i samej roboty, aparatury sztuki. Wychodziłem z salki zniechęcony. Nie lubię także zawodowych recenzentów. Jak można wierzyć wrażliwości recenzenta czy redaktora z wydawnictwa, który na przykład w ciągu roku musi przeczytać sto tomików poetyckich? Przecież to swoisty narkoman, który musi, by osiągnąć pożądaną stan, stopniowo zwiększać dawki. Myślę, że i pilny konsument sztuki — jeśli dysponuje telewizorem, a poza tym słucha radia, chodzi do kina i teatru — również w końcu jest narażony na stopniowe wrażliwość.

Przypominam to dlatego, iż chciałem napisać o sztuce O'Neill'a, znakomitego pisarza amerykańskiego, że jest wielkim wydarzeniem. Jest nim naprawdę, ale pytanie zawiera się w tym, na jak długo? Może wkrótce znowu poczujemy nas wybitną sztuką i znakomitą spektaklem? (Młodości wyświeatliły w TV filmów znajdując się w „lepszej” sytuacji: ich niczym wybitnym, o ile wiem, nie racza). Na jak długo utrwała się w świadomości widzów przedstawienie telewizyjne w całym jego przebiegu? Czy coś się robi, aby przedłużyć jego trwanie? Czy na przykład po ważniejszych premierach nie należy i do nich wracać nie tylko telewizyjnie, ale i dłuższą rozmową znawców — jednak co znawcy to znawcy! — na temat przeżytego utworu? Może jakaś forma Klubu Widzów?

W wypadku O'Neill'a podobna dyskusja przydałaby się bardzo. Bogaty i piękny utwor, wysnuty z mrocznej poezji i z antycznego dramatu o losie, bogach i rodzinnej wendzie — proponuję rozmatle tropy i wykładnie.

Główna sprawa dramatu jest przeznaczenie i sprawiedliwość. Absolutna, integralna sprawiedliwość, której wszystko podporządkowane. Elektra, której poświęca wszystko i wszystkich, w końcu samą siebie, nie istnieje, nie może istnieć.

Inna sprawa to purytanizm, uciek surowych determinacji, tych wymogów moralnych i prawo do radości życia. Do autentycznych uczuć, stosunek realnego życia do marzenia o owych wyspach na południowych morzach.

Z twórczości O'Neill'a widziałem tylko kiedyś w Sopocie sztukę „Księżyc świeci nieśmiertelnie”, utwór o uścisłocie do wielkiej miłości, drażniący zadziorną dziewczynę, córkę ubożego farmera, i aktorkę — degenerata. Sztukę zupełnie niepodobną do omawianej, ukazującą zależności pisarza od dramaturgii skandynawskiej i rosyjskiej sprzed pierwszej wojny, naturalistyczną. Trudno też mówić o zaletach adaptacji, polegającej na wyłączeniu w dwugłosach, co dawało efekt telewizyjny. Sethowi zaś rolę przerywnika.

Same kłopoty, bo i co rozsądne da się powiedzieć o imponujących umiejętnościach Z. Mroczowskiej, J. Barańskiej, J. Kreczmara, J. Gogolewskiej, który wyjątkowo sugestywnie przedstawił wszystkie tak różnorodne fazy dramatu. Ograni, skoro taki szansa mogłaby wynikać dopiero z konfrontacji innego aktorstwa z innej realizacji tej samej sztuki! Trzeba jeszcze tylko zauważyć, iż reżyser Jerzy Antczak chyba słusznie postąpił, nadając pierwszeństwo trylogii wymiar patetyczny, rozgrywaną ją jak koturnowo, w sposób zbliżający do surowości antycznej tragedii, drugą zaś rozgrywaną bardziej kameralnie i po ludzku czyli czyniąc sprawę bliższą współczesnemu odbiorcy...

I bums! Mało bowiem zostaje mi miejsca, więc jeszcze parę pytań, odnoszących się do telewizyjnego. Lubię je, zastępują mi osobisty udział w towarzyszeniu. Ale zaczynają nużyć, gdyż ich przebieg stanowił pokazy mechanizmów erudycji. Wtorkowy telewizyjny „21” nie był nawet jej pokazem. Jeden z uczestników, zapytany o rok powstania Akademii Królewskiej — a w tym wypadku erudycję z powodzeniem mogłaby zastąpić przeciętna inteligencja — nie skojarzył tego sobie z szumnie przeżyte obchodzonego sześćsetlecie naszego najstarszego uniwersytetu. Otóż to!

Jak więc wygląda współczesny dyktant? Nas, dyktantów przedwojennego chowu, może zdenerwować fakt, iż jeden z uczestników telewizyjnego nie nie słyszał o polskim pochodzeniu Apollinaire'a, ich, dyktantów powojennych, również zdenerwowałyby, gdybyśmy się zradzili z nieznaną osobą jakiegoś szczytów z życia Heleny Majdaniec. Hal!

W „Światowidzie” zaczęła się ożywiać rozmowa o Indonezji, gdy jednak zainteresowano nas tematem, rozmowę przerwano, racząc białym filmkiem z życia w NRD i niecierliwą wymianą zdań o nowych interesujących decyzjach gospodarczych w ZSRR. Skoro TV i tak rzadko kiedy bywa punktualna, to czy nie lepiej czasem zrezygnować z troski o nią, gdy coś zapowiada się interesujące?

Oczywiście, niech mnie nikt nie pociąga o to, że wypowiadam swoje uwagi w przekonaniam, iż na co praktycznie wypłynę. Na to jestem za stary felietonista. Po prostu niżej podpisaną telewizję rozmawia z jakimś innym wiele miłymi telewizorami, w związku z czym p. Witalski Pilecki mi dziękuję za nazbyt dla mnie pochlebny list, pani S. W. postaram się odpowiedzieć listownie, zwiłkowa słuchaczy nie moim udziałem w wykopkach. Nie personalnych, skądże, buńczacznych!

JAN HUSZCZA

## O FILMACH DOBRZE I ZŁE



Co pewien czas odzywają się w naszej kinematografii wołania o film zaangażowany ideowo, odzwierciedlający problemy, jakie istnieją bądź też rodzą się dopiero w społeczeństwie budującym socjalizm, o film, który by był dyskusją o współczesnym człowieku w warunkach ustroju socjalistycznego. Od czasu do czasu powstają u nas takie filmy. Powiedzmy sobie jednak szczerze: są to dzieła niezbyt wysokiej klasy artystycznej. Albo brak im siły, jaką niesie w obrębie tej tematyki pełny autentyzm, albo ograniczają się do mówienia o sprawach nie najbardziej istotnych. Nasz film nie nadała za rozwojem życia społecznego kraju. Brak mu ognia, brak mu odwagi. Jeśli nawet decyduje się na mówienie o trudnościach, czy sprawach drażliwych — a nie ma przecież społeczeństwa, które by ich uniknęło, są więc i muszą być także i u nas — to ukazuje je na ekranie dopiero wtedy,

gdy społeczna dyskusja nad nimi została zakończona, albo — w najlepszym razie — przeszła przez swój najgorętszy okres. Słutki takiego podjęcia do owej problematyki są nam dobrze znane: mamy nad czym użalać się w polskiej kinematografii, brak nam praktycznie dzieł z tego zakresu, którymi moglibyśmy się naprawdę pochwalić. Toteż tym goręcej zachęcamy wszystkich Czytelników do obejrzenia czeskiego filmu „OSKARZONY”. Brak nam takiego właśnie dzieła. Film Jana Kadara i Elmary Kłosa porusza swym autentyzmem, prawdziwością ukazującą spraw ludzkich i umiejętnością odzwierciedlenia sylwetek ludzi, ich psychiki w całej swej złożoności. Największą chyba zasługą obu współreżyserów jest to, że niczego nie upraszczają, że pokazują, iż są w społeczeństwie socjalistycznym sprawy, na które nie ma gotowych formuł, że są bóleczki, na które nie znaleziono

jeszcze skutecznej i niezawodnej recepty. Twórcy mają odwagę włączyć się do dyskusji o sprawach, które nie znalazły jeszcze w naszym ustroju rozwiązania, z którymi społeczeństwo czeskie, a także i nasze nie umie sobie jak dotąd poradzić. Film dokonuje mądrej i faktownej krytyki tego, co zdaniem realizatorów należałoby iakoś zmienić. Dzieło to prowokuje więc w gruncie rzeczy dyskusję. Jest proste, otwarte, mocne. Siega do samych podstaw socjalistycznej moralności, nie waha się mówić o sprawach trudnych, bolesnych, nie rozwiązanych. Cała akcja toczy się na sali sądowej, gdzie sadi się ludzi za poważne przestępstwa i niedopatrzona gospodarcze. W trakcie procesu, w młare zeznań głównego oskarżonego — dyrektora Kudrny, pojawiają się fragmenty retrospektywne. To konfrontacja słów oskarżenia i obrony z rzeczywistością odżywają-

ca we wspomnieniach Kudrny. I dlatego film ma gwałtowność takich wspomnień. Jest dramatyczny, jest nawet tragiczny. Ogląda się go naprawdę z wypiekami na twarzy. Ani jedno słowo nie brzmi w „Oskarżonym” fałszywie, ani jeden gest, ruch nie razi sztucznością. Nie ma tu ani obojętności, ani przesadnej afekcji. Jest świadomość spraw najważniejszych, którym krytyka pewnych przejawów życia z pewnością nie zaszkodzi. Dlatego mimo padającego oskarżenia, mimo, że film nie wskazuje rozwiązania spraw nie załatwionych jeszcze w socjalistycznym społeczeństwie, a może właśnie dlatego, film ten jest pełen godności. Miał wstrząsnąć sumieniem obywatelskim i z zadania tego wywiązuje się doskonale. Odrość i krytyczność spojrzania na czy z rozległością horyzontów ideowych, społecznych, z mądrością i dobrą wolą ludzi, którzy go stworzyli.



Skoro już mowa o problematyce społecznej, to chciałabym przypomnieć Czytelnikom film, który co prawda nie jest najsławniejszą nowością, ale na łamach naszego piśma nie był jeszcze recenzowany. To film Johna Schlesingera „BILLY KLAMKA”. Powstał w roku 1963 i należy do nurtu znanego i głośnego w dramaturgii filmowej i teatralnej Anglii — tzw. „młodych gniewnych”. Choć odnowy społeczeństwa angielskiego to główne zadanie, jakie jego twórca stawiała przed sztuką. Ich dzieła posiadają namietny ton oskarżenia, cechuje ich niesłychana gwałtowność. Ostra krytyka, to założenie programowe tego kierunku. I przy-

należni doń twórcy czynią ze swych dzieł „szkła powiększające”, przez które ukazują wszelkie skazy, jakie dostrzec zdołali na szorach — ich zdaniem — organizm społeczeństwa angielskiego. Tendencyjność leżała więc u podstaw nurtu „młodych gniewnych”, a objawiła się w sposób wielce gwałtowny. Ich dzieła z nasza oskarżają — wydobywały z rzeczywistości Anglii i wcielały w swój kształt ekranowy lub teatralny to tylko, co dało się, co trzeba było skrytykować. Dlatego są wielkim wołaniem „nie!” — sa protestem. Nie wskazywa one dróg, którymi powinna pójść naprawa. Sa oskarżeniem, które wstrząsnąć miało su-

mieniem brytyjskiego społeczeństwa, zmusić je do spojrzenia w oczy prawdzie, sprowokować do przeciwdziałania. „Billy Klamka” jest typowym przykładem takiego właśnie dzieła. Ukazuje beznadziejność życia młodych miasteczek w Anglii, małostkowość, małoduszność zamieszkujących tam ludzi. Ich straszliwa passywność, która przeżarte jest nawet życie młodych. Młodzież jest nie tylko bierna, jest także straszliwie ośmupniona. Bezideowość, brak jakiegokolwiek wartości, w imię których można by działać, które można by szanować, bronić: przyzwyczajenie do życia w łatwinie — oto zamknięty krąg, w którym obraca się młodzież

angielska. Trudno się z niego wyrwać. Billy dzięki swej inteligencji, dzięki niespokojnemu duchowi zna pragnienie ucieczki. Ale i jego przeżarła już passywność. I dlatego choć Billy buntuje się przeciw rzeczywistości, ucieka od niej — zmienia ją, przeobraża jedynie w swoich marzeniach. Owe marzenia, nie-realne sceny majace w filmie prawo bytu na równi z realnymi, nadają dziełu Schlesingera największą wartość. Siega do głębi ludzkiej psychiki. Odziera ją ze złudzeń. Odtwarca tytułowej roli — Tom Courtenay jest w tym filmie rekwizytem. Do ról „młodych gniewnych” dodał własną — znakomitego odtwórcę. **MARIAREL**



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## PRAWDA O MATA HARI

■ Paryska publiczność, która w roku 1905 emocjonowała się jej orientalnymi tańcami (tańczyła w stroju z najcięższej gazy - a więc właściwie nago) uważała ją za nieślubne dziecko jednego z europejskich władców. Francuski sąd, skazujący ją w 1917 roku za szpiegostwo, widział w niej groźnego agenta wywiadu niemieckiego. Nawet i dziś Mata Hari jest arcytypem kobiety-wampa, kobiety fatalnej.

Obecnie Sam Waagenaar, holenderski pisarz i historyk wywiadu, inna nie mniej dramatyczna prawdę, Margaretha Zelle, która w roku 1905 emocjonowała się jej orientalnymi tańcami (tańczyła w stroju z najcięższej gazy - a więc właściwie nago) uważała ją za nieślubne dziecko jednego z europejskich władców. Francuski sąd, skazujący ją w 1917 roku za szpiegostwo, widział w niej groźnego agenta wywiadu niemieckiego. Nawet i dziś Mata Hari jest arcytypem kobiety-wampa, kobiety fatalnej.



le, holenderska mieszkanka, rozwódka, która Wschód znała tylko z krótkiej wycieczki - całe życie musiała kogoś udawać. Czy był to snobizm, czy też mania - zapłaciła panna Margaretha vel Mata Hari za tę słabość życiem.

A więc mistyfikacja: panna Margaretha znała słowa malajskich i wybierała sobie poetyczny pseudonim - Mata Hari - Ozy Dnia. A potem z determinacją wykonała na oczach bogatej paryskiej publiczności swój pierwszy strip-tease. I tego starczy, by zapoczątkować niezwykłą karierę. Zresztą sama Holenderka nie ma iluzji co do źródła owej kariery. Związała się z jej przyjaciółką: „Nigdy dobrze nie tańczyłam. Publiczność zdobyłam odwagą: byłam pierwszą, która odważyła się występować nago”.

W czasie wojny - już starzejąca się panna Margaretha zaczynała pracować dla wywiadu francuskiego. Ale nie po pełnieniu latych występów scenicznych trzeba myśleć i o przyszłości. Dla Mata Hari przyszłość to pieniądze. Dużo pieniędzy.

dzy. Gdy wywiad niemiecki proponuje jej za usługi 20.000 franków, panna Zelle nie odmawia. Jej usługi szpiegowskie są blache i nie przynoszą żadnej ze stron korzyści. Ale ta gra na dwie strony wychodzi na jaw i francuski Sąd Wojenny po 45-minutowej naradzie skazuje awanturniczą Holenderkę na śmierć.

Właśnie o tę śmierć chodziło - jak obecnie dowodzi autor Waagenaar, odwołując się na obszernym materiale dowodowym, ujawnionym dopiero po pół wieku. Mała ona podzielała odstraszenia, bowiem w tym okresie wojny wywiad niemiecki bez trudu zdobywał sobie wśród pracowników w krajach neutralnych. Wyrok wykonano i egzekucja odbita się głośnym echem po całym świecie, tworząc legendę. A także, wciąż jeszcze żywy, jak widać temat literacki.

## TEATR NARODÓW

■ Minister kultury André Malraux powierzył sławnemu aktorowi Jean-Louis Barrault kierownictwo Teatru Narodów, który stał się jednym z najbardziej czynnych i żywych ośrodków światowej sztuki dramatycznej. Teatr Narodów istnieje od jedenastu lat, jednak od pewnego czasu utracił coś niecoś ze swego prestiżu i znalazł się w trudnościach finansowych. Aby ratować dzieło zbliżenia kulturalnego, zapoczątkowanego przez A. M. Juliana rząd francuski zdecydował się na to, co można by nazwać etatyzacją. Idea Juliana polegała na wykorzystaniu marowego sezonu wiosennego i letniego na międzynarodowy festiwal teatralny w gmachu Teatru Sary Bernhardt. Koszty imprezy pokrywała gmina miasta Paryża. Pierwsze eksperymenty były ukoronowane sukcesem. Międzynarodowy Instytut Teatralny na Kongresie w Dubrowniku w czerwcu 1955 r. postanowił zorganizować Teatr Narodów. W ciągu paru lat pierwszy sukces znalazł potwierdzenie w serii spektakli. Niektóre zespoły dramatyczne, jak Berliner Ensemble lub Opera w Pekinie zwiększyły ilość spektakli na scenie Teatru Narodów. Ale subwencje dla zespołów przyjeżdżających do Paryża z kazały się niewystarczające. Dyrekcja Teatru zwracała się do ambasadorów zagranicznych o wytyśczenie zespołów najlepszych reprezentujących kraje ojezyste. Poziom spektakli zaczął się jed-

nak obniżać. W tych warunkach Barrault, zatrzymując Juliana jako swego pierwszego doradcę, objął kierownictwo. Siedziba Teatru Narodów została przeniesiona z budynku teatru miejskiego Sary Bernhardt do gmachu teatru narodowego Odeon. Barrault ograniczył liczbę zespołów zapraszanych do Paryża. Liczba ta nie może przekraczać ośmiu w ciągu roku. Wyboru będzie dokonywał Barrault przy udziale Juliana. W ten sposób zostanie zredukowane do minimum niebezpieczeństwo ryzyka wynikające z wyboru dokonywanego przez ambasadora.

## „PRIX ITALIA”

■ W tegorocznych konkursach międzynarodowych w dziedzinie radia i telewizji triumfy święcili Anglicy i Japończycy, którzy zdobyli łącznie część nagród. Po obejrzeniu we wrześniu br. 109 słuchowisk i nagrań, międzynarodowe jury we Florencji przyznało wielką nagrodę tzw. „Prix Italia” Anglii w kategorii telewizyjnych filmów dokumentalnych za „Wesela w sobotę”. Japonia otrzymała główną nagrodę za oryginalne widowisko dramatyczne w dziedzinie teatru TV „Przeszłość wraca” Koichi Otsu i radiowa komedia muzyczna „Phaeton” Makoto Moroi i Koichi Kihara.

## CYBULSKI W SZWEDZKIM FILMIE

■ Jörn Donner, młody reżyser filmowy, uważany za najwybitniejszego następcę słynnego Ingmara Bergmana, nakręcił już wiele filmów krótkometrażowych. Jego pierwszy film długometrażowy „Niedziela we wrześniu” został wyróżniony w 1963 roku w Wenecji nagrodą Oplery. W pierwszych filmach ucznia Bergmana odzwierciedlała się jeszcze różne obrazy mistrza. W „Niedzieli we wrześniu” narzeczona, która w dniu ślubu uświadamia sobie, że chce być sama i wraca do domu rodzinnego, wydaje się jeszcze postacią Bergmanowską. Ale już w następnym utworze ucznia wyzwała się spod wpływu wielkiego twórcy. Film Donnera „Kochać” ma za treść usiłowanie mężczyzny stworzenia doskonałej wspólnoty z kobietą. Bohaterem jest Zbyszek Cybulski, którego Louiza, młoda wdowa, spotyka na porządku meża. Z tęsknoty za nowym i innym szczęściem Louiza wiąże się z Frederikiem (Cybulski), któ-

ry dotąd był uwodzicielem i zmieniał kobiety jak rękawiczki. Frederik proponuje Louizie małżeństwo, lecz Louiza odrzuca tę ofertę, wspominając swój poprzedni związek: „Każdego roku umierałam po trosze, nie zauważając tego. To było najgorsze”.

## PAN TOUREL

■ Przetłumaczona dosłownie(!) na polski przez Sławomira Blautę i wydana nakładem „Czytelnika” powieść młodego szwajcarskiego pisarza z niemieckiego obszaru językowego Otto F. Waltera „Pan Tourel” nie zdobyła sobie polskiego czytelnika. Książka ukazała się w maju br. i jeżeli się nie myli, a jeszcze dziś można ją nabyć w księgarniach, co jak na nasze stosunki, w których dobre książki znikają z półek w okresie od tygodnia do miesiąca, nie świadczy o jej pożyteczności. Tymczasem w prasie zagranicznej spotyka się raz po raz recenzje o tej interesującej powieści, przetłumaczonej już na parę języków. Ostatnio pisze o niej „Journal de Geneve” w swym dodatku kulturalnym. Otto F. Walter ma za sobą już jedną powieść, również przetłumaczoną na polski pt. „Niemy”. Korzystając z najnowszych osiągnięć techniki powieściowej i stosując wszelkie wypróbowane chwytły od Faulknera aż po Natalie Sarraute, autor z zadziwiającą zručnością prowadzi narrację, pełną niuansów i

pólcieni tak, że czytelnik przy końcu lektury czuje się pogrążony w takiej samej dwuznaczności fabuły, w jakiej był na początku. Biorąc z grubsza, rzecz przedstawia się w ten sposób, że fotograf zawodowy, pan Tourel wraca pewnego dnia do małego miasteczka u stóp szwajcarskiej Jury, gdzie przed laty pracował w zakładzie fotograficznym i które to miasteczko opuścił w dosyć podejrzanych okolicznościach. Wybuchł wówczas strajk w cementowni, która dzień i noc zasypała miasteczko tumanami pyłu. Nastąpiła wtedy tajemnicza śmierć starego Juuli. W równie tajemniczych okolicznościach slary właściciel oberży gościł swoją siostrzenicę. Miał miejsce wypadek z ciężarówką, której kierownictwo ranny kierowca został znaleziony w lesie, i którego to kierowca opuścił niekiedy pan Tourel, jadący obok niego w siostrzenicę, itd. W swej lekturze czy nora nad brzegiem rzeki Aar pan Tourel wspomina interpretację różnic tych faktów, które obciążają go dwuznaczną odpowiedzialnością. Nie będąc odpowiedzialny za nie czuje się zamieszany we wszystko. Wobec tego postanawia spisać swoje wspomnienia i odczytać zarzuty wróć, który mu przypisują różne winy. Osiągłynie powieści polega na tym, że oskarżenia, o których wspomina pan Tourel, osnuwała się dokoła niego jako centralnej postaci i zaciska-

ja się jak nitki pajęczyny dokoła uwikłanej i szamoczącej się ofiary. Rodzaje halucynacji, w których obraca się pan Tourel, ogarniają również w końcu czytelnika.

## W 20 LAT PO ŚMIERCI BELI BARTOKA

■ Wybitny kompozytor węgierski Bela Bartok zmarł 26 września 1945 roku w wieku lat 64. Bartok próbował skutecznie przeciwstawić się wszelkim pokusom wsłóć czesnej cywilizacji i pozostać wiernym samemu sobie. Od swych współczesnych wymagał on tego samego stoiska godności jak od siebie. Ponieważ jednak spotkało go rozczarowanie, więc zamykał się w sobie i unikał bliźszych związków z ludźmi. Bartok był uważany za trudnego we współżyciu. Tylko nieliczni znali kompozytora śmiejącego się i w nastroju relaksu. Na co dzień nosił on maskę człowieka niewzruszonego i nieprzejednanego, który nie godził się na kompromisy. Bartok często wskazywał na znaczenie, jakie miała w jego twórczości muzyka ludowa. W opublikowanych w 1921 roku autobiograficznych szkicach pisał Bartok, że w 1905 roku podjął badania i studia nad muzyką ludową. Badania miały decydujące znaczenie ze względu na „możliwość pełnego uwolnienia się od dotychczas obowiązków w muzyce tradycji”.



## JESZCZE O REALIZMIE

■ Artysta tworzy nową rzeczywistość korzystając z elementów, które czerpie z rzeczywistości swego czasu i według metod i technik, odpowiadających stopniowi rozwoju społeczeństwa, w którym żyje i pracuje. Ta zasada ma zastosowanie zarówno do „Iljady”, jak do „Makbeta”, zarówno do „Zamku” Kafki jak do „Guerniki” Picassa. Wyrazistą czenia i protestu przeciwko niemu może przybrać różnorakie formy i nie jest bardziej zbliżającą się estetyce, jak - identyfikowanie realizmu z jedną z jego form, przeciwstawianie Balzaka - Kafce czy Kafki - Balzakowi, niż znakiem uczonego Roger Garaudy w jednym z ostatnich numerów „Les Lettres Fran-

caises”. To prawda, że zarówno z „Komedii Ludzkiej” jak z „Czerwonego i czarnego” możemy odczytać prawa rządzące epoką i utożsamiać się z bohaterami, wciągniętymi w tryby życia społecznego. I cięzar ich nieubłaganego losu może wzbudzać w nas sprzeciw wobec zagłady człowieka. Z podobną techniką literacką Robert Merle w powieści „Śmierć jest moim rzemiosłem” opowiedział nam w pierwszej osobie życie operarza z Oświęcimia, konstruując model tragedii hitlerowskiej z jej wzorem i logiką, i wzbudzała w nas protest przeciwko systemowi, mającemu na celu zagładę człowieka. Ale czy nie jest podobnie z realizmem Kafki? Czy „Proces” lub „Zamek”

nie tworzą wielkich miastów odsłaniając siły zagłady we współczesnych społeczeństwach i sprawiając, że alienacja staje się nie do zniesienia również dlatego, że została ludzkom uświadamiona. Aby nam uświadomić, co ryzykujemy uznając w życiu codziennym za normalne to, do czego przywykliśmy, Kafka wyrzyna nas ze zwykłych kadr czasu i przestrzeni, a wówczas zgroza zagłady - jakby wyizolowanej - staje się jeszcze bardziej widoczna, jeszcze bardziej poświatowa. Czy możemy się więc zgodzić na takiego rodzaju okaleczenie i wyeliminowanie z realizmu dzieła, które nam pomagają w uświadamianiu nam najbliższej i najgroźniejszej rzeczywistości naszej epoki? - zapytuje Roger Garaudy.

## POLONICA

### J. SŁOWACKI PO ROSYJSKU

Na półkach księgarń wydawnictw importowanych pojawiły się dwa tomy w pięknej czarnej oprawie. Jest to wybór utworów poetyckich naszego wielkiego poety romantycznego - Juliusza Słowackiego.

Z prawdziwym zacięciem czyta się dobrze znane wiersze poety, które w języku rosyjskim nabrały zupełnie innego brzmienia. Są tu: Zmija, Jan Bielecki, Hugo, Majak, Lambr, Anelli, Ojciec z dymionym, W Szwajcarii, Maria Stuart, Kor-dian, Balladyna, Lilla Weneda, Mazepa, Fantazy oraz drobne wiersze.

Wybór został wydany przez Wydawnictwo „Chudożestwiennaja Literatura”, pod redakcją Maksyma Rylskiego. I chociaż książka ukazała się w 1960 roku, polscy czytelnicy mają dopiero teraz okazję przeczytać J. Słowackiego po rosyjsku.

(6f)

### FRANCUZI W HOLDZIE DLA SKŁODOWSKIEJ-CURIE

Telewizja francuska opracowała i nadała sztukę zatytułowaną „Dziewczyna z Polski”. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że treścią tego widowiska było życie naszej znakomitej roduckiej, uczonej o światowej sławie, dwukrotnie zdobywczy nagrody Nobla - Marii Skłodowskiej-Curie. Program składał się z dwu części: w pierwszej z nich opowiedziano o latach młodości Marii, w drugiej przedstawiono jej pobyt w Paryżu i pracę wspólnie z Piotrem Curie nad odkryciem radu i promieniotwórczości.

(6d)

### GWIAZDY POLSKIEJ ESTRADY W MOSKWIE

Zbliża się ku końcówce tournée gwiazd polskiej estrady po Związku Radzieckim. Artysty przejechali tysiące kilometrów, odbyli dziesiątki spotkań z mieszkańcami Mińska, Astrachania, Ługoska, Akrania, Erywanu i wielu innych miast. Byli przyjmowani owacyjnie. Polska piosenka podbiła serca Rosjan. Jest to piękny przykład propagowania rodzimej muzyki i tylekroć krytykowane piosenek zagranicznych. W tournée udział wzięli: Rona Rolska, Jadwiga Prolńska, Krystyna Konarska, Jerzy Polomski i Olgierd Buczek.

(6f)

## POLONICA

# Notatnik KULTURALNY

## PONIEDZIAŁEK

Z radością, lecz i z pewnym niepokojem odnotowujemy fakt zakończenia cyklu uroczystości inauguracyjnych w naszym mieście. Cieszą się, bo skończył się okres podsumowywania osiągnięć i rozważania przed zdumionymi słuchaczami obiecywanego programu na rok bieżący. Jestem poważnie zaniepokojony, bo zaczęło się normalne życie kulturalne.

Inauguracja, zwłaszcza ta na wyższych uczelniach - a było ich w tym tygodniu trzy: w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej, w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych i w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej miały jedną wadę - były zbyt długie.

## WTOREK

Konferencja prasowa w Teatrze Wielkim to chyba przedmiot uroczystości otwarcia nowego gmachu Opery Łódzkiej. Warszawski „Kolos” mieścił na widowni 2000 osób, lecz gdy uprzejmi gospodarze pozwolili nam widownię obejrzeć ze sceny, byliśmy przekonani, że ta ostatnia jest dużo większa od sali mieszczącej przecież ogromną ilość widzów.

Nabrałem ochoty do odwiedzenia Teatru Wielkiego. Zainteresowała mnie szczególnie premiera „Straszego Dworu”. Mimo, że wszyscy od dawna wiedzieli, że opera to również teatr, że solista to także aktor, po raz pierwszy w Polsce wśród twórców spektakli znalazł się ktoś, kto zajął się układem ruchu i gestu scenicznego.

## ŚRODA

Zupełnie inaczej na przykład w klubach kawiar-ni w Ujeździe. Wstęp wolny. A atrakcja? Oto tygodniowy program imprez: Wtorek: posiedzenie Rady Klubu; oglądanie programu telewizyjnego, gra w warcaby, szachy i bridge'a

Sroda: jak wyżej  
Czwartek: jak wyżej  
Piątek: jak wyżej  
Sobota: jak wyżej  
Niedziela: jak wyżej.  
Aby było bardziej ciekawie, niektóre pozycje programu telewizyjnego starannie wypisano na tablicy. Wybrani oglądają program pietro wyżej, „u kasiadki”, telewizor klubowy bowiem od dawna poważnie szwankuje.

## CZWARTEK

W Polsce jest tyle konkursów, ilu literatów. Po-czawszy od konkursu na wiersz lub opowiadanie pt. „Dlaczego nasza szkoła wybrała sobie na patrona pana XY”, a skończywszy na ścisłe ekskluzywnym, ogólnopolskim, dostępnym tylko dla... itd.

Ambicją każdego spodo-wiska jest posiadanie wła-snego konkursu, który by podkreślał „więc młody narodem a artystami”. I tak np. o zaan-gażowaniu się w sprawy młodzieży świadczy konkurs na sztukę o chuliga-nach podwarszawskich, o zainteresowaniu się sprawami uprawy roli - konkurs „O wpływie dofinanso-wania rolnictwa na unowocześnienie bazy maszyno-wej rolnika zrzeszonego w spółdzielni produkcyjnej”.

Łódź literacka ma cze-ty konkursy - takie bar-dzo ważne. Właśnie zakończył się konkurs o nazwie „Człowiek Tłokiego”. Rozdano nagrody, złożono wszystkim serdeczne gratulacje, podkreślono zna-czenie tej imprezy. Za miesiąc konkurs następny.

## PIĄTEK

W Filharmonii Łódzkiej odbył się wieczór niespo-dzianek: 1. niezwykle staranne przemysłany reper-tuar: słaby utwór K. Mo-zamskiej-Nazar, który stał się przeglądem osią-gnięć Bacewiczówny, Bair-da i Pendereckiego; tro-che jazzu z okazji wyko-nania Koncertu fortepiano-wo, F-dur G. Gershwina i 4. aby słuchacze nie zapomnieli, że istnieje je-szcze muzyka zupełnie in-na od przedstawionej - Symfonia C-dur „Liniz” W. A. Mozarta.

2. starano się połączyć przypadkowe efekty, które uzyskuje się na pierwszej próbie, z różnymi typami wykonania estradowego - od dobrej muzyki poważ-nej (Mozart), do nieco ka-wiarnianych nastrojów (Gershwin).

3. przerwanie i rozpo-częcie na nowo Koncertu Gershwina miało ilustrować atmosferę, jaka panu-je na próbach.  
Reasumując: z okazji pięćdziesięciolecia naszej Filharmonii prezentuje peł-ny zasób swoich możliwo-sci - od doskonałych kon-certów, do pokazów lekkie-ważenia słuchacza.

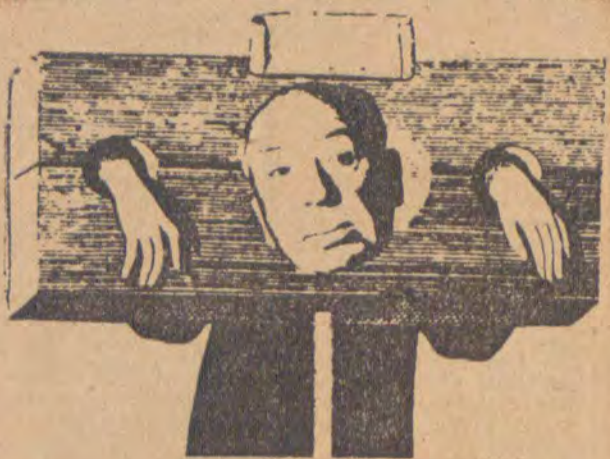
## SOBOTA

W Galerii 20 otwarto uro-czyście wystawę prac Wł. Wasilewskiego, plastyka gdańskiego. Nawet, gdyby nie poczęstowano gości lampką wina, zachęcałoby do obejrzenia jej. Andrzej Grun przy tej okazji przy-pominał baśń Andersena o chłopcu, któremu wpadł w oko ułamek czardziej-skiego zwierciadła. To coś koło tego. Sprawdźcie zro-zną sami.

## NIEDZIELA

Tak zwany „Palcusyk” przy ul. Piotrkowskiej 262 znają chyba wszyscy. Trze-ba jednak ciągle o nim przypominać. Warto tym bardziej, że ostatnio wła-sności tego budynku, ZMS, organizuje coraz ciekawsze imprezy. Z jego inicjatywą ostatnio wy-stępował w Łodzi Teatr-Laboratorium 13 Rzędów. Po występach interesują-ca dyskusja przeciwnała się do północy. Takie na jego zaproszenie przyje-chal do Łodzi znany i cen-iony poeta Jan Spiewak. Przykro tylko, że infor-macja nawaliła. Rezultat - 10 osób na wieczorze.  
AMBIANUS





Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

*Alfred Hitchcock*

Pamiętam dokładnie scenę, w której Clayton opowiedział swą ostatnią historię. Siedział wtedy w rogu, tuż przy obszernym kominku, a obok niego spoczywał Sanderson, paląc spokojnie fajkę. Był jeszcze wtedy Evans i prawdziwa znakomitość aktorska Wish, znany powszechnie ze swej skromności. Przybyliśmy wszyscy do Mermaid Club rano, tamtej soboty. Jedynie Clayton spędził już noc na miejscu, co stało się punktem wyjścia jego opowieści. Czyteliśmy, aż do zapadnięcia zmroku graliśmy w golf, spożyliśmy później kolację i znajdowaliśmy się w owym nastroju odprężenia i spokoju, który nastraja człowieka do słuchania opowieści. Gdy Clayton zaczął mówić, byliśmy oczywiście przekonani, że kolorystyka.

— Jak wiecie — zauważył, po dłuższej chwili, w czasie której obserwował iskry nad kominkiem — byłem tutaj sam ubiegłej nocy.

— Nie licząc domowników — dorzucił Wish.

— Ktoś śpi w drugim skrzydle — powiedział Clayton. — Tak, no tak... — zaważał się chwilę i wreszcie rzekł spokojnie: — "Złapałem ducha".

— Złapałeś ducha? — spytał Sanderson. — Gdzie on jest?

Evans, który zawsze podziwiał Claytona, wykrzyknął: — Naprawdę złapałeś ducha? Strasznie się cieszę. Musisz nam natychmiast o tym opowiedzieć.

Clayton przyrzekł, że za chwilę to zrobi i poprosił o zamknięcie drzwi. — Nie należy robić zbyt wiele zamieszania — wyjaśnił. — Tym bardziej, że nie był to duch związany na stałe z tym miejscem. Nie myśleć również, aby kiedykolwiek zjawiał się tu powtórnie.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie zatrzymałeś go? — spytał Sanderson.

— Nie miałem serca, aby go zatrzymać. Ten biedak był w poważnym kłopotcie — powiedział Clayton spoglądając na koniec żarzącego się

H. G. WELLS

Niedoświadczony duch

cygara i po chwili podał dalej.

Spotkałem go, wyobraźcie sobie, w tym długim korytarzu. Był odwrócony tyłem do mnie, więc pierwszy go zauważyłem. Od pierwszej chwili wiedziałem, że mam do czynienia z duchem. Był przezroczysty i białawy; po

przez jego ciało widziałem wyraźnie polyskiwanie ognia w głębi korytarza. Nawet nie przestraszyłem. Wydaje mi się, że w większości wydarzeń tego typu nie jest się nawet w przybliżeniu tak przestraszonym, ani podnieconym, jak człowiek to sobie wyobraża. Duch jednak natychmiast wyczuł moją obecność i odwrócił się gwałtownie. Zobaczyłem twarz nie dojrzałego jeszcze, młodego mężczyzny, słabo zarysowany nos, małe wąsiki i ledwo widoczną brodę. Stał się przez chwilę — on patrząc na mnie przez ramię — i przygląda-

liśmy się sobie. Wtedy prawdopodobnie przypomniał sobie, jakie jest jego przeznaczenie. Odwrócił się, wyprostował, nadął swoją twarz, wyciągnął ręce w sposób przyety przez duchy i zaczął zbliżać się do mnie. Jednocześnie jego dolna szczeka opadła i w tym momencie wydał z siebie głuchy dźwięk „Buuu...”. Nie, to w ogóle nie było straszne. Byłem po kolacji. Niezależnie od tego wypiliem butelkę szampana, a ponieważ byłem sam, może dwie lub trzy — a może cztery lub pięć szklaneczek whisky. Byłem więc niewzruszony jak skała i nie bardziej przestraszony niż gdybym napadnięty został przez żabę.

— Buuu?? — powiedziałem. — Nonsens. Pan jest tutaj obcy, co Pan tu robi?

Widziałem jak się zaważał. — Buuu — powtórzył jednak. — Czy jest pan członkiem tego klubu — spytałem. I aby pokazać, że się go nie boję, przeszedłem przez kawałek jego postaci i zapaliłem świeczkę. — Czy jest pan członkiem? — powtórzyłem.

— Nie — odpowiedział w końcu. — Nie jestem członkiem — jestem duchem.

— To nie upoważnia pana jeszcze do wstępu do Mermaid Club. Czy chce się pan tu z kimś zobaczyć, lub coś w tym rodzaju?

Onuścił wreszcie ręce i przestał jęczeć. Miałem przed sobą zawstydzonego i zaniepokojonego ducha, słabego i śmiesznego zarazem młodego człowieka.

— Ja straszę — powiedział wreszcie. — To nie należy do rzeczy — powiedziałem spokojnie.

— Jestem duchem — odpowiedział broniąc się. — Będę może, lecz nikt nie upoważnił pana do straszenia tutaj. To jest porządnym klub. Członkowie zatrzymują się tu często z dziećmi i niankami. Spacerując w tak beztrudny sposób, mógłby pan natrafić na któregoś z tych biedactw i przestraszyć je na śmierć. Chyba nie pomyślał pan o tym.

— Nie — przyznał. — Nie pomyślałem.

— A trzeba było. Czy ma pan jakieś prawa do tego miejsca? Czy zamordowano tu pana, lub coś w tym rodzaju?

— Nie, tyle, że budynek wydawał mi się dość stary.

— To nie jest wytłumaczenie. Na pańskim miejscu nie czekałbym na pianie koguta, tylko zniknął natychmiast.

Spojrzał na mnie z zakłopotaniem.

— Niestety, chodzi o to, że... nie mogę.

— Nie może pan?!

— Właśnie. Po prostu coś zapomniałem. Słusznie tu od ubiegłej nocy, chowając się w szafach pustych pokoi. Jestem zupełnie wyprowadzony z równowagi. Nigdy do tej pory nie straszylem i to mnie zapewne wylękało.

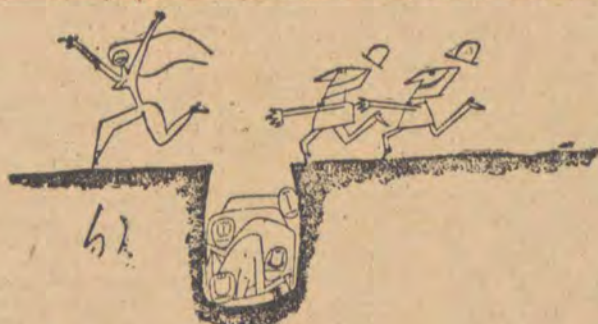
— Wylękało?

— Próbowałem kilka razy i nie mi nie wychodzi. Musiałem zapomnieć jakiś drobny

szczegół w zakleciach i teraz nie mogę wrócić.

— Niech pan wejdzie do mojego pokoju — powiedziałem — i opowie mi o tym szerzej...

Z tego co opowiedział później wynikało, i gotów jestem w to całkowicie wierzyć, że wszystko, czegokolwiek w życiu się dotknął, kończyło się niepowodzeniem. I tak chyba będzie cała wieczność. Gdyby spotkał się z czymś wspaniałym i zrozumieniem,



to może... W tym miejscu przerwał i spojrzał na mnie. Dodał po tym, że choć może to wydawać się dziwne, lecz nikt do tej pory nie okazał mu tyle sympatii, co ja.

Wiem, że to zabrzmiało brutalnie, lecz wprost fizycznie nie znoszę roli Jedynego — Prawdziwego — Przyjaciela i powiernika owych egocentrycznych słabeuszy, bez względu na to, czy obelżonych w ciło, czy zdematerializowanych.

Zaznaczyłem więc ostro: — Niech pan przestanie litować się nad samym sobą. Chodzi o to, aby wydosłał się pan stał jak najszybciej. Niech pan weźmie się w garść i próbuj.

— Nie mogę — odpowiedział. — Niech pan próbuje — powtórzyłem i w końcu... zaczął próbować.

— Probować! — wykrzyknął Sanderson. — Jak?

— Przez różne sztuczki rekoma — powiedział Clayton. — Sztuczki?

— No tak, różne skomplikowane gesty i ruchy rąk. W ten sposób zjawiał się i w ten sam sposób powinien zniknąć.

— Lecz w jaki sposób przy pomocy gestów... — zacząłem.

— Mój drogi — przerwał mi Clayton. — Chcesz wszystko dokładnie wiedzieć. Ja sam nie wiem iek. W każdym razie po pewnym czasie, który wydawał mi się wiekiem, udało mu się wykonać ruchy prawidłowo i zniknął.

— A ty, czy zaobserwowałeś te ruchy? — spytał z ciekawością Sanderson.

— Tak — przyznał Clayton. — Wszystko to było bardzo dziwne. Początkowo był bliiski załamania. Wszystkie próby zewiodły.

— Aż w końcu udało się?

— Pociągnął mnie, żebym sam wykonał wszystkie ruchy tak, aby mógł je widzieć. „Wydaje mi się”, powiedział,

„że jeśli popatrzę, to przypomnę sobie, w czym leży błąd”. Tak właśnie się stało. Nim jednak przystąpił do wykonania ostatecznych ruchów, poprosił, abym się odwrócił. Musiałem ustąpić. W lustrze wiszącym na szafie mogłem jednak obserwować wszystko, co potem nastąpiło.

— Rozpoczął bardzo szybko. Nakreślił kola ramionami w ten sposób, następnie tek i tak, aż wreszcie nastąpił o-

polegał na rozpostarciu ramion i podniesieniu głowy do góry. W tym momencie wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Byliśmy po kolacji, w starym i mrocznym domu. Czyżby mimo wszystko...

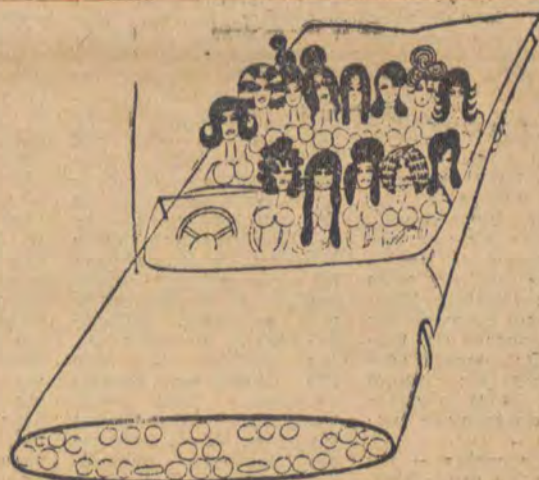
Clayton stał przez chwilę w niezmienionej pozycji. Było widoczne, że jednak nie zniknął. Oddechaliśmy z ulgą. Wszystko okazało się głupstwem. Opowiedział nam dziwną historię w sposób, który nadał jej cechy prawdopodobieństwa. To wszystko... Nagle, w jednej chwili twarz Claytona wyraźnie się zmieniła.

Zmieniła się w ten sam sposób, w jaki zmienia się oświetlony dom, gdy zgasza w nim światła. Oczy stały się nieruchome i uśmiech zamarł mu na wargach. Wydawało się, jakby wszystko wokół zaczęło się ruszać. Powoli ugięły się pod nim kolana i zaczął padać do przodu. Na szczęście, Evans poderwał się w porę i złapał go w ramiona.

Czuliśmy się wszyscy jak uderzeni obuchem w głowę. Minęła chwila minuta i nikt nie przemówił ani słowa. Sanderson pierwszy pochylił się nad leżącym i przyłożył ucho do jego serca.

Nie spiesząc nam było szukać wytłumaczenia wydarzeń, które przewinęły się przed naszymi oczyma. Clayton przeszedł rzeczywistość do świata, który leży tak blisko nas i tak daleko zarazem. Udał się jedyną drogą. Jaka pójść może zwykły śmiertelnik. Czy przeszedł tam dzięki zakleciom owego ducha, czy też był to normalny atak serca w trakcie snucia wymyslanej opowieści — jak to zapewne orzeknie sąd — nie moja rzecz jest wvrokować w tej sprawie. Jest to po prostu jedna z tych niewytłumaczalnych zagadek, które na zawsze pozostają nierozwiązane. Jedną rzecz, którą wiem na pewno, to fakt że w momencie gdy wykonywał ostatni ruch zakleć, zmienił się, zachwiał i padł przed nami... nieżywy.

Thum. Z. J. KOZ.



Lewym okiem

JA ROZUMIEĆ, ALE NIE UMIEĆ

Parę lat temu „Polityka” prowadziła przez szereg tygodni kampanię pod hasłem „Nie jakac się!”. Kampania poświęcona była sprawie, która stała się naczelnym konikiem naszego społeczeństwa: znajomości języków obcych.

Podobno jesteśmy narodem, szczególnie uzdolnionym językowo. Znam rodaków, którzy po dwóch-trzech latach przebywania na obczyźnie, na przykład w Anglii, nie tylko mówili świetnym miejscowym slangiem, nie tylko zaczęli kaleczyć własny język ojczysty na sposób rutynowanych starych emigrantów, ale — rzecz prawie nie do wiarę — zostawali nauczycielami języka angielskiego w angielskich szkołach. Wiele polskich intelektualistów swobodnie włada paroma językami, prowadzi dyskusje, wygłasza przemówienia i bardzo trudne odczyty. Chyba więc jest sporo racji w tej pozytywnej fanie o naszych zdolnościach.

Ale zostawmy na chwilę przykłady — żeby użyć modnego dziś słowa — „wiodące”. W tak zwanym szerokim przekroju już historia wykłada całkiem inaczej. Uczymy się języków masowo. Dzieciaki zanim staną się młodzieńcami i skończą swą edukację na stopniu magistra ma przez kilkanaście lat po parę godzin tygodniowo lekcje języków — kilkanaście lat! — powiedzmy sobie szczerze — wcale tych języków nie zna, ani jednego, nawet własnego.

Podoba prasa, że na tegorocznych egzaminach wstępnych na wyższe uczelnie postawiono kandydatom aż 29,9 proc. stopni niedostatecznych z języka rosyjskiego, a tylko 0,7 proc. — bardzo dobrych. W języku francuskim niedostateczne wyniosły jeszcze więcej — 42,3 proc., przy 3,9 bardzo dobrych. Przeróżające zestawienie. Oczywiście — każdy z tych młodych ludzi z każdej ankiecie, w rubryce „znajomość języków obcych”, wymieni bez wahania owe dwa języki, które figurowały w jego szkolnych i uczelnianych cenzurkach. Oczywiście będzie żądał zatrudnienia go w handlu zagranicznym, wysyłania na zagraniczne delegacje i wypłacania dodatków językowych. Bardzo wielu z nich otrzymało dodatki, znalazło pracę w handlu zagranicznym i wyjechało na delegację. Wyjeżdża się przecież w grupach po sześć do piętnastu osób, jeśli każda z nich zna w dziesięciu procentach język, to w sumie jakoś się wyjąkają. Albo znajdują jednego, przeważnie najniższej postawionego i najgorzej wyposażonego, który posłuży panom delegatom za tłumacza. Nie śmieciecie się, widzieliśmy takie sytuacje już nie raz.

Czytuję czasem pisma zachodnie. Kilkadziesiąt stron „Neue Zürcher Zeitung” poświęca się co dzień poszukiwaniom, pracy i oferowaniom wolnych posad. Nie przesadzaj, jeśli powiem, że dziesięćdziesiąt procent ogłoszeń podaje jako warunek wglądnie jako posiadania kwalifikacje biegłą znajomość trzech-czterech języków. Biegłą znającą. Co to znaczy — przekonałbyście się, rozmawiając z przeciętnym Holendrem lub Szwajcarem. Oni rozmawiają, nie jakają się w bezkolizyjach, jak Pietašek.

Cała Polska pcha się drzwiami i oknami na tysięczne kursy języków obcych. Po roku zostaje co trzeci, po dwóch latach — co dziesiąty. Nie dlatego, że się zniechęcił. Dlatego, że uznał swą edukację za idealnie zakończoną. Nie uważam za zły tego gatunku snobizm, który leży u podstaw wielu decyzji ucznia się — jakżeby inaczej — angielskiego. Nie ma też nieszczęścia, że tysiące ludzi mają właśnie takie hobby i że traktują je niecierpliwie poważnie. Gorzej, jeśli całkiem serio uznają, że są poliglotami. Jeśli znajdują się w sytuacjach wymagających bezwzględnie czegoś więcej od stwierdzenia „ich verstehen, aber ich nicht können”, i uznają, że są właśnie ludźmi na właściwych miejscach. Gdzie są, gdzie są ci naprawdę właściwi ludzie?

W instytucjach, mających z urzędu czestą kontakt z zagranicą, niestety, nie ma tych ludzi zbyt wielu. Więc gdzie są?

ĆWIEK